TYGODNIK KOBIETY

CENA 50 GR.

Nr. 13

29 marca 1936 r.



Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

1. BLUZKA TAFTOWA DLA MŁODEJ PANIENKI. PHOTO YVA.

2. KOSTJUM Z JASNOPOPIELATEJ WEŁNY-SZALIK AKSAMITNY. PHOTO PARAMOUNT.

3. KAPELUSZ Z BIAŁEGO FILCU OTOCZONY CZARNĄ AKSAMITKĄ. PHOTO DORVYNE.



2.



1.



3.

TYGODNIK KOBIETY

ROK II. Nr. 13. 29 MARCA 1936 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA : WARSZAWA, SZPITALNA 5 m. 15 — TELEFON 5-07-03

CZY KOBIETY NORWESKIE ZDADZĄ EGZAMIN?

Rok bieżący rozpoczął się dla kobiet pod dobremi auspicjami. Oto bowiem w pierwszych dniach stycznia Polska Ajencja Telegraficzna przyniosła z Oslo następującą wiadomość:

„Rząd norweski przedłożył na Radzie królewskiej dn. 3-go stycznia projekt zrównania kobiet z mężczyznami w dostępie do piastowania urzędów publicznych. Propozycja ta przewiduje możność powierzania kobietom tek ministerialnych, sprawowania przez nie urzędów cywilnych, wojskowych, dyplomatycznych i nawet duchownych".

Wiadomość ta nie we wszystkich ukazała się pismach. Niektóre dzienniki utrąciły ją, inne „zgubiły" w codziennej sieczce telegramów, żaden nie podkreślił jej dostatecznie przez umieszczenie na widocznem miejscu, żaden też oczywiście nie uważał za stosowne poświęcić jej kilka uwag od siebie.

A jednak zupełne i faktyczne zrównanie kobiet w ich prawach ludzkich i obywatelskich z mężczyznami, może stać się przewrotem głębszym i bardziej zasadniczym, niż np. przewrót bolszewicki w Rosji, może ukazać światu zupełnie nowe wartości współżycia ludzkiego, może stworzyć fundamenty pod wspaniały, nowoczesny gmach ustroju społecznego.

Wszyscy wdzimy, że jest źle i coraz gorzej. Ci, którzy mają w swych rękach klucz do sytuacji wszechświatowej, będącej tylko wykładnikiem polityki poszczególnych państw i losów poszczególnych narodów, — nie zdali egzaminu.

Ale zejdźmy teraz z forum międzynarodowego na własne, ciaśniejsze podwórko. Niezbyt tu zachęcająco wygląda. Bieda aż piszczy. Pod względem używania mydła stoimy na jednem z ostatnich miejsc wśród narodów europejskich.

O stosunkach, panujących na wsi mówiono i pisano już niejednokrotnie. Są podobno gdzieś w Polsce jakieś rajskie osiedla wiejskie, gdzie ulice mają prawdziwe bruki, okna się otwierają, a w mieszkaniach, a nawet oborach jest światło elektryczne. Mieszkańcy tych wsi błogosławionych korzystają z świetlic i domów ludowych, mają spółdzielnie mleczarskie i inne, a dzieci ich uczęszczają do porządnej i czystej szkoły. Naogół jednak wieś polska tonie w ciemnościach, błocie i brudzie. Niema pieniędzy na naftę, zapałkę dzieli się na cztery części, a mycie odbywa się w ten sposób, że się rozmazuje po twarzy wodę, nabraną poprzednio do ust. Mycie ciała uważane jest wogóle za niesłychaną ekstrawagancję i dziwactwo. Jak w takiej wsi, z której dzieci chodzą po kilka kilometrów do najbliższej szkoły, mieszczącej się w kurnej chacie, wygląda „oświata", można sobie łatwo wyobrazić.

Bezrobocie, również mimo różnych zarządzeń i zabiegów rośnie stale. Nie skorzystaliśmy bowiem z pouczającej lekcji, udzielonej światu przez zagranicę, zwłaszcza przez Amerykę: pracy nie można stworzyć sztucznie, nawet jeśli się rozporządza tak olbrzymiemi zasobami, jak Stany Zjednoczone. Przedewszystkiem bowiem trzeba stworzyć warunki, w których praca byłaby na coś przydatna, w których jej produkty znajdowałyby nabywców, które powróciłyby tej pracy dawny jej charakter obowiązku, a nie przywileju, jak to jest obecnie, a nawet przestępstwa (badanie czy przypadkiem, prócz żywiciela rodziny, jeszcze drugi jej członek nie pracuje i przewidywanie sankcyj w takich wypadkach). Wszelka walka z bezrobociem, przy równoczesnem zacieśnieniu rynku wewnętrznego przez systematyczne obniżanie zarobków i spychanie ludzi do poziomu poprzestających na skąpem zaspakajaniu swych potrzeb czysto fizjologicznych jest nietylko utopją, ale szkodliwem i niebezpiecznem marnowaniem grosza publicznego.

Dotkliwą bolączką są równie ubezpieczenia społeczne, z których do niedawna byliśmy tak bardzo dumni. Okazały się one w praktyce niemal bezwartościowe. W obecnej ich formie są one w dobrej konjunkturze niepotrzebne, w złej zaś niewystarczające. W rezultacie wywołują wszechstronną krytykę, są znacznem obciążeniem pracownika, zwłaszcza umysłowego, i wymagają ciągłych poprawek i ulepszeń, które niczego nie ulepszają, zato stwarzają stan ciągłej płynności i niepewności, powodują mnożenie się przepisów, zarządzeń, klauzul, zastrzeżeń, w których gubi się ubezpieczony i przestaje się orjentować w swych prawach i obowiązkach.

Zmierzam tutaj jedynie do przypomnienia, że jest źle nietylko u nas, lecz na całym świecie, i że w tworzeniu obecnego układu społecznego kobieta udziału nie brała.

Niestety w wielu wypadkach jest to jej własną winą. W Stanach Zjednoczonych np. kobiety oddawna cieszą się zupełnem równouprawnieniem, minimalnie jednak zeń korzystają. W ustawodawstwie, w sądownictwie reprezentowane są w bardzo małej liczbie, w dyplomacji są wyjątkami, w życiu gospodarczem państwa można je policzyć na palcach. Kobieta rzadko z własnego popędu staje na arenie życia publicznego. Jeżeli się tam znajdzie, wymaga się od niej szczególnych uzdolnień, niemal genjuszu, choć tylu, mniej niż przeciętnych mężczyzn, zajmuje kierownicze stanowiska.

I u nas przecież istnieje obywatelskie „równouprawnienie" kobiet. Mimo to jednak pozwalamy się spychać

z raz zajętych placówek, pozwalamy sobie wydzierać pracę, nie mamy decydującego głosu w tak wybitnie „kobiecych" sprawach jak: „wychowywanie młodzieży, ustawodawstwo małżeńskie, cała rozległa dziedzina szkolnictwa. Widzimy, drobny napozór fakt: Czy byłaby do pomyślenia zupełnie nierealna i ośmieszona już dziś „reforma" wakacyjna w szkołach, — wprowadzona w życie w roku 1934, niemal przy dźwiękach fanfar, a cofnięta cichutko i wstydliwie w roku ubiegłym — gdyby o tem decydowały kobiety?

Nie chcę przez to powiedzieć, że kobiety wszystko zrobiłyby lepiej, i że dzięki ich współpracy świat stałby się rajem. Ludzie błądzą. Jeżeli jednak ktoś błądził przez kilka tysięcy lat, powinien zdobyć się na tyle rozsądku, żeby to wreszcie zrozumieć i dopuścić do głosu nowy, niewyzyskany jeszcze czynnik. Nie stać ludzkości na to, żeby więcej niż połowa jej intelektu, obdarzonego odrębnym charakterem i odrębnemi cechami marnowała się dla społeczeństwa i nie współpracowała czynnie, bezpośrednio w kształtowaniu się życia i rzeczywistości nowoczesnej. Gdy stare drogi zawiodły, trzeba szukać nowych. Trzeba zaprządz do pracy niewyzyskane siły i dopuścić je do głosu. Są świeże i niezużyte. Niech dowiodą swej żywotności. Niech zdadzą egzamin...

Tak właśnie postąpiła Norwegja. Najbliższa już przyszłość wykaże, czy postąpiła dobrze, czy próba uwieńczona będzie pomyślnym wynikiem. Oczywiście, że wszystko niemal zależy od samych kobiet. Nie wytsarczy mieć p r a w o do teki ministerjalnej. Trzeba też być gotowym do podniesienia tej olbrzymiej odpowiedzialności, trzeba być do tego przygotowanym, trzeba zdecydować się na dźwiganie swojej części ciężaru, jakim niewątpliwie jest decydowanie o losach kraju. Czy kobiety norweskie wezmą na siebie ten ciężar? Będą miały zadanie ułatwione. Norwegja, jak wiadomo, nie zna kryzysu. Życie płynie tam korytem normalnem. Nie trzeba uciekać się do żadnych nadzwyczajnych środków, do żadnych bohaterskich wysiłków. Ale i codzienna praca na kierowniczem stanowisku wymaga wiele mądrości, poświęcenia, taktu, zmysłu orjentacji. Zobaczymy, czy kobiety norweskie zechcą wziąć na siebie trudne zadanie i czy mu podołają.

H. Bukowska.

W obronie praw kobiet

pracujących w urzędach państwowych

W związku z zapowiedzią dekretu o redukcji mężatek żon urzędników państwowych i samorządowych, Zarząd Główny S. U. P. Rz. P. w dniu 30.XII.1935 r. zwołał zebranie urzędniczek, pracujących w instytucjach państwowych. Zebranie uchwaliło następującą rezolucję:

Odmawianie prawa do pracy kobietom mężatkom stanowi ograniczanie ich praw obywatelskich niezgodne z Konstytucją, godzące w najbardziej istotne poczucie prawa, a więc podstawę życia państwowego.

Już przepisy uposażeniowe 1934 r. przez zniesienie dodatków rodzinnych uderzyły poraz pierwszy w rodziny urzędnicze oraz utrudniły zakładanie nowych rodzin.

Redukcja mężatek stanowi drugie zkolei uderzenie w rodzinę, która jest w teorji uważana za podstawową komórkę Państwa, uderzenie tem groźniejsze, że normy obecnych uposażeń urzędników od XI do VIII gr. up., wynoszące od 100 do 260 zł., miesięcznie obejmują 80% ogółu urzędników, a więc większość uposażeń daleka jest od minimum egzystencji rodziny pracownika umysłowego.

Ponadto zebrane stwierdzają, że zwalnianie mężatek z posad byłoby swoistym rodzajem kary za zamążpójście i tworzenie rodziny, która jest przecież podstawową komórką Państwa.

Opierając się na powyższych przesłankach, zebrane wnoszą kategoryczny protest przeciwko zamierzonym redukcjom mężatek w urzędach i instytucjach państwowych, czy to w drodze dekretu, czy w jakiejkolwiek innej formie oraz domagają się nieograniczania praw obywatelskich kobiet, gwarantowanych przez Konstytucję.

Zebrane domagają się połączenia akcji pracowników z ruchem zawodowym pracowników fizycznych dla wspólnej obrony interesów świata pracy, któremu na wszystkich placówkach grożą redukcje.

Zebrane domagają się rozszerzenia akcji w celu wciągnięcia do niej szerokich mas pracowniczek i pracowników".

W styczniu 1936 r. powołana została przez Zarząd Główny S. U. P. Komisja, złożona z członkiń Stowarzyszenia, dla opracowania na Walny Zjazd Delegatów Kół S. U. P. wniosków, dotyczących obrony interesów zawodowych kobiet, pracujących w urzędach i instytucjach państwowych.

Walny Zjazd obradował w Warszawie w dn. 8 i 9 marca 1936 r. Zaprojektowane przez Komisję i Zarząd Główny S. U. P. wnioski, dotyczące obrony interesów zawodowych kobiet, zostały przyjęte jednomyślnie.

Uchwała Walnego Zjazdu w tej sprawie stanowi załącznik do niniejszej notatki.

UCHWAŁA.

Walnego Zjazdu Delegatów w dn. 8 i 9 marca 1936 r.

I. W sprawach obrony interesów zawodowych kobiet.

1) Walny Zjazd Delegatów Kół S. U. P. stwierdza, że prawa kobiet pracujących w urzędach i instytucjach państwowych, w stosunku do praw pracowników mężczyzn o tych samych kwalifikacjach, są stale ograniczane przez szeregowanie kobiet do niższych grup uposażenia, nadawanie niższych stanowisk, pomijanie przy awansach i przy ustalaniu w służbie, przy przemianie stosunku prywatnoprawnego na publiczno-prawny, przez tsosowanie do kobiet redukcyj w znacznie wyższym stopniu, często na krótko przed nabyciem praw emerytalnych, a zwłaszcza ostatnio przez tendencję usuwania od pracy kobiet zamężnych,

że przy przyjmowaniu młodych sił do urzędów i instytucyj państwowych nie uwzględnia się w równej mierze kobiet o odpowiednich kwalifikacjach.

2) Walny Zjazd Delegatów uznaje:

że wyszczególnione w poprzednim punkcie ograniczenia praw, stosowane do obywateli jednej płci, stanowią naruszenie praw obywatelskich i godzą w najbardziej istotne poczucie prawa, a więc w podstawę życia państwowego.

że redukcja kobiet nie stanowi skutecznego środka zwalczania bezrobocia, podważa natomiast byt rodzin, utrzymywanych całkowicie lub częściowo przez pracę kobiet.

że obrona zawodowych interesów kobiet, pracujących w urzędach i instytucjach państwowych, należy do obowiązków S. U. P., jako związku zawodowego urzędników państwowych bez różnicy płci.

3) Walny Zjazd Delegatów Kół wzywa Zarząd Główny do podjęcia natychmiastowej akcji, mającej na celu:

a) zaniechanie w urzędach i instytucjach państwowych redukcyj kobiet zamężnych z powodu ich stanu cywilnego,

b) uwzględnianie w należytym stopniu kobiet przy przemianowaniach na urzędników etatowych osób, pracujących na mocy umowy prywatnoprawnej lub mianowanych prowizorycznie,

c) uwzględnianie w należytym stopniu kobiet przy awansach zależnie od kwalifikacji, sprawności zawodowej i czasu pracy na służbie państwowej,

d) nadawanie kobietom stanowisk kierowniczych łącznie,

e) uwzględnianie kobiet, nie wyłączając kobiet zamężnych, przy przyjmowaniu nowych sił do urzędów i instytucyj państwowych,

oraz poleca:

utworzyć przy Zarządzie Głównym S. U. P. pod przewodnictwem członkini Komisję Specjalną dla obrony zagrożonych zawodowych interesów kobiet, pracujących w urzędach i instytucjach państwowych.

Kobiety na gruncie lwowskim

Nie jestem historykiem literatury, ani sztuki i nie sięgnę w przeszłość, ażeby wielbić cnoty i talenty prababek — znane nam zresztą skądinąd. Nie mam też zamiaru przeprowadzania czegoś w rodzaju studjum na tle porównań Lwowianki z mieszkankami innych miast Polski i zaznaczenia jej (oczywistej!) wyższości. Nic bowiem nie jest mi bardziej obce i dalekie, jak szowinizm lokalny. Ten nieznośny — i wprost bolesny— separatyzm, który sprawia, że mimo zjednoczonych ziem Polski wolnej— dalej jesteśmy podzieleni na zabory, wywyższające się jeden ponad drugi, z których każdy wychwala swoje podwórko, a umniejsza sąsiednie.

Chciałabym tylko — rzucić bezstronne spojrzenie na pewne psychiczne cechy kobiet żyjących i działających na terenie Lwowa, bez względu na to, czy się w tem mieście urodziły, czy tylko zostały przeszczepione na grunt lwowski.

Lwów bowiem ma jakiś specjalny klimat, w którym dojrzewają i kształtują się charaktery i wartości nieczęsto spotykane gdzieindziej. Charaktery, w których jest coś poręczającego, że nie zawiodą w chwilach potrzeby, jakiejkolwiek natury byłaby ona.

Gdy człowiek rozważa, co składa się na ten rzadki typ, jaki przedstawiają tutejsze kobiety, odrazu uderza przedewszystkiem gorejące serce, jakby zdyszane w pośpiechu dawania z siebie jak najwięcej i nie ominięcia żadnej do tego okazji. Jakaś zapalczywa, młoda życzliwość w stosunku do ludzi, jakieś zapamiętanie się w danej robocie, które nie uznaje rzeczy połowicznych, tak jak nie znosi — autoreklamiarstwa. Tu jednostka umie usuwać siebie w cień, w pełnem zrozumieniu, że nie o jej osobę idzie, ale o jej zdolności do pracy, o efekt **wspólnej** pracy i o powodzenie samej sprawy. Zdarza się więc nieraz, że gdy zajdzie potrzeba napisania o jakiejś zasłużonej kobiecie, zjawiają się trudności poprostu spowodu braku materjałów. Że nie jest to gołosłownem twierdzeniem, niech zaświadczy autentyczny fakt. Niedawno umarła w naszem mieście artystka i działaczka społeczna w wielkim stylu. Gdy przyszło do napisania sylwetki, okazał się brak nietylko jej osobistej fotografji, ale także fotografji jej obrazów, które były przecież prawdziwemi dziełami sztuki.

Również niecodziennym rysem jest

u kobiet we Lwowie nieudawana prostota i zupełny brak pozy. To też tutejsze kobiety potrafią w każdej okoliczności i na każdem miejscu być sobą. Mają tę piękną odwagę — odwagę szczerości.

Na żadnym odcinku życia umysłowego i społecznego niebrak kobiet we Lwowie. żaden rodzaj pracy nie jest im obcy, albo niedostępny. a natomiast wszędzie zaznaczają swoją wybitną indywidualność. Ale jakkolwiek dobrze znają swoją wartość i wielostronne możliwości, mimo to rozkwit ich talentów twórczych i powodzenie w pracy nie zawróciło im w głowie. Własną pracą i zasługą zdobyte sukcesy przyjmują jako rzecz naturalną i prostą, bez cienia zarozumiałości. ale też i bez fałszywej skromności. Zamiast niesmacznych, a zato popłatnych — w sensie zdobycia rozgłosu — reklam, stawiają sobie takie oryginalne pomniki kultury, jakim jest np. ostatnie wydawnictwo „Lwowskiego Oddziału Stowarzyszenia Kobiet z wyższem wykształceniem". Są to „Materjały do Bibljografji Piśmiennictwa Kobiet Polskich" do roku 1929. Tom pierwszy, obejmujący wyłącznie nauki matematyczno-przyrodnicze i nauki stosowane, zawiera ogółem 1580 nazwisk i prac kobiecych z tego zakresu. Cała ta żmudna, iście franciszkańska praca nad zdobywaniem materjałów, uporządkowaniem ich i wydrukowaniem trwała trzy lata, a dokonana została bezinteresownie przez członkinie Stowarzyszenia. Ile rozgłosu około takiego dzieła byłoby gdzieindziej! Ile hałaśliwej reklamy i wywyższania osobistych zasług. Tymczasem kobiety lwowskie podjąwszy samorzutnie inicjatywę, przeprowadziły to trudne dzieło z niezgłębioną ofiarnością — i z prostotą oddały je społeczeństwu.

Żyje w naszem mieście dużo kobiet ciekawych, jako umysł, jako indywidualność — dużo talentów twórczych. Jak mało o nich wiemy, jak zawzięcie unikają rozgłosu!

Właśnie przyszła mi na myśl artystka — jedna bodaj że z najwybitniejszych a najcichszych — malarka, rzeźbiarka, w której pozatem zamieszkał genjusz sztuki dekoracyjnej. Otóż jednem z jej upodobań jest estetyka wystaw sklepowych, i na tem tle tworzy istne cuda pomysłowości, harmonji barw, subtelnego rysunku i — humoru. Zagadnięta raz, czy nie szkoda jej wielkiego talentu na podobne rzeczy, odpowiedziała, że przeciwnie, ta praca specjalnie ją cieszy, bo w ten sposób może ogółowi uprzystępnić odbiór wrażeń estetycznych. Wystawy sztuki w lokalach zamkniętych są dostępne tylko pewnemu odłamowi społeczeństwa. A wystawy sklepowe zatrzymują uwagę każdego przechodnia, czy nim będzie inteligent, czy dziecko proletarjackie. I właśnie ci najubożsi, młodzi i starzy, którzy w innych okolicznościach nie pomyśleliby nawet o rzeczach sztuki, tu przed wystawą sklepową, kształcą mimowoli zmysł estetyczny. Wobec tego uważa, że dekoracja wystaw to taka sama kulturalna praca, jak każda inna.

I ma słuszność. Ale — pokażcie mi, proszę, na innym gruncie, aniżeli lwowski, tak przedziwny odruch, taką fanatyczną propagatorkę piękna na codzień, piękna dla wszystkich

Nie użyłam dotychczas żadnego z sakramentalnych wyrażeń jak: kresowa niewiasta, bujny temperament kresowy, przysłowiowa uroda Lwowianek i innych komunałów, któremi w podobnych okolicznościach gładko się szermuje. Zamiast ... wolałam podkreślić innego typu wartości, i żałuję tylko, że wszystkich niesposób przecież wyliczyć. Nie wolno mi jednak nie zawadzić wspomnieniem o Cmentarz Obrońców Lwowa, i nie zapytać, czy jest gdzie na świecie taki drugi, jak tutejszy, gdzie liczne mogiły dziewczęce dokumentują ponad wszelką wątpliwość gorący, czynny patrjotyzm kobiet tego miasta.

Albo — kogo nie wzruszyłby serdeczny gest proletarjuszki, która sama żyjąc w nędzy, przesyła Komitetowi zbiórki dla najbiedniejszych odrobinę wiktuałów, trochę ubogiej, ale wyłatanej i wypranej odzieży — i dołącza koślawem pismem nakreśloną karteczkę tej treści: „a te wiktuały tom wzięła na kredyt w sklepiku, w sekrecie przed mężem". Wzięła na kredyt...

I na zakończenie jeszcze jedna osobliwość: we Lwowie niema starych kobiet. Rzecz jasna, nie mówię tu o wieku metrykalnym, którego przesunąć, ani zatrzymać w biegu nie można, ale o tej nieprzemijającej młodości, zagwarantowanej bogatem życiem wewnętrznem, niegasnącym z latami entuzjazmem i żywiołowym zapałem do wszystkiego, co dobre i piękne, który hartuje się w ogniu zmagań z twardą rzeczywistością, a dojrzewa w słonecznem cieple serca, płonącego miłością i ofiarnością.

Konstancja Hojnacka.

Cele Społeczne i gospodarcze Spółdzielczości

Referat, wygłoszony na zebraniu organizacyjnem Koła Kooperatystek w Warszawie.

Wśród celów, jakie spółdzielczość będąc ruchem społecznym i gospodarczym zarazem, stawia przed sobą, są wielkie i dalekie, a jednocześnie są i bliskie, o znaczeniu, zdawałoby się chwilowem i małem. Stąd tak często spotykane niezrozumienie spółdzielczości u tych, którzy jej istoty nie znają, nie żyją jej ideałami, stykając się z niemi jedynie powierzchownie.

Wielkie zadanie przebudowy społecznej i gospodarczej w imię potrzeb człowieka i jego prawa do pełnego rozwoju wydają się często nierealną mrzonką, utopją, zbędnym balastem w zestawieniu ze skromną walką o słuszną cenę, dobrą miarę i wagę towaru, dostarczanego członkom w sklepie spółdzielni. I odwrotnie, te codzienne troski i zabiegi spółdzielczego życia, jakże często przysłaniają całkowicie tamte wielkie i dalekie, narażając całą ideę spółdzielczą na zarzut kramarstwa, oportunizmu, dążenia do ideału sakiewki, brzęczącej przy końcu roku zwrotami od zakupów. Kobieta, której życie składa się z drobiazgów i która z codziennych, niewidocznych trudów buduje jednak rzecz wielką i ważną, swój dom, łatwiej tę pozorną sprzeczność zrozumie, i dlatego nie może być spółdzielczości bez pozyskania dla niej kobiet.

Spółdzielnie to komórka nowego ustroju, maleńka czasem i słaba, a jednak już dziś realizująca na swoim odcinku nowe zasady organizacji życia gospodarczego, to drogowskaz wśród dzisiejszego chaosu wskazujący nową, lepszą drogę.

Spółdzielczość jest próbą zorganizowania zbiorowych potrzeb świata pracy i zarządzania niemi na zasadach samorządu.

W spółdzielni nie pieniądz w postaci akcji, czy udziału rządzi, ale człowiek, na walnem zgromadzeniu w równem głosowaniu (jeden członek, jeden głos) rozstrzygający wszystkie sprawy spółdzielni.

Członkowie też sprawują nad spółdzielnią kontrolę i od ich czynnej postawy, stopnia zainteresowania spółdzielnią i wyrobienia, zależy czy spółdzielnia będzie się rozwijać czy też, zaniedbana, upadnie. Każdy upadek spółdzielni, to jednocześnie wystawione złe świadectwo członkom którzy w porę nie spostrzegli zła i nie umieli mu zaradzić.

Aby spółdzielnia mogła się rozwijać i zaspakajać coraz więcej potrzeb członków, fundusze jej muszą rosnąć.

W tym celu powstaje z części nadwyżek fundusz społeczny, będący własnością ogółu członków, niepodzielny jednak w razie likwidacji spółdzielni, a obracany na cele społeczne.

Dziś, gdy każdy sklep, fabryka, czy warsztat należą do prywatnej jednostki, kapitał społeczny w spółdzielni jest zwiastunem nowego ustroju, uspołecznienia środków produkcji i wymiany. Rośnie on powoli z roku na rok i umożliwia klasie pracującej szkolenie się w zarządzaniu coraz to nowemi placówkami życia gospodarczego, terenem dotąd dla niej niedostępnym i obcym.

I tak wielkie, dalekie cele realizuje spółdzielczość, posuwając się zwolna, krok za krokiem naprzód. Każdy nowy członek, zyskany dla spółdzielni, zwiekszenie obrotów, zorganizowanie z członkiń komitetu, który czuwać będzie nad tem żeby spółdzielnia dobrze spełniała swe zadania, każde walne zgromadzenie liczne i ożywione, dobry podział nadwyżki w końcu roku, aby i fundusz społeczny zwiększyć i wynagrodzić zwrotami od zakupów tych, co pilnie i codziennie kupowali tylko w sklepach spółdzielni, każda wreszcie wojna, wygrana o to żeby cena towaru była niższa (jak to w roku ubiegłym było z pomarańczami) te wszystkie drobne zabiegi i usiłowania, to cegiełka po cegiełce wmurowane pod budowę lepszego jutra.

I choć czasem pod naciskiem pięści uzbrojonej w przemoc, runąć muszą sklepy, domy i fabryki społeczne (Niemcy, lub Czerwony Wiedeń) nic nie zdoła złamać człowieka, wolnego twórcę życia, wychowanego przez pracę w spółdzielni, nic nie zdoła zniszczyć wartości, stworzonych przez niego, które zawsze w końcu zwyciężyć muszą.

O. Dąbrowska-Haubold.

Ś. P. MICHALINA DOMAŃSKA

Zmarła 18 b.m. w Warszawie, ś.p. Michalina Domańska, (primo voto Szwedowa) urodzona w roku 1873 w majątku Czyżewicze ziemi Mińskiej. Idealistka czystej wody, gorąca patrjotka, zdolna do największych poświęceń w imię tego patrjotyzmu, jak były prawie wszystkie kobiety ziemianki na kresach wschodnich, życie całe poświęciła pracy narodowej na dalekich rubieżach naszej ojczyzny.

Poza stałą pracą w stowarzyszeniu Oświata, w którem była członkiem zarządu, w swoich licznych utworach porusza stale sprawy społeczne, narodowe i religijne.

W roku 1906 na konkursie bibljoteki Dzieł Wyborowych otrzymuje nagrodę za powieść „Brzydka", i odrazu się staje jedną z najpopularniejszych autorek na kresach wschodnich, zaraz potem wychodzą dwie jej następne powieści „Ciche Noce" i „Blaski". Największem jednak powodzeniem cieszy się „1/14" traktująca o skutkach niesprawiedliwości ówczesnego prawodawstwa rosyjskiego, krzywdzącego córki na rzecz synów, ciężkie prześladowania Unitów przez Rząd carski natchnęły ją do napisania szeregu najpiękniejszych opowiadań, jak to: „Nieznani bohaterowie", „Dziwy w jarze", „Spowiedź Matyni", „Śmiertelna kołysanka", „Śmierć Jana Teodora", a głównie „Dzwony".

Podczas wojny światowej wielkiem powodzeniem cieszyła się jej powieść „Gdy zagrzmiał Złoty Róg" — kronika wypadków z czasów formowania się naszych sił wojskowych w Mińszczyźnie, pozatem „Orlęta", nagrodzone na konkursie „Słowa Poznańskiego".

Na tle stołecznych stosunków towarzyskich napisała „Małżeństwo Zygmunta Kietlicza", z tejże epoki pochodzi zbiorek nowel „Fotografje mówią".

Rozmieszczone po różnych pismach poezje liryczne przepojone miłością dla ludzi, umiłowaniem wszelkiego piękna nie doczekały się wydania książkowego, — a były to umiłowane utwory autorki.

Artykułami treści społecznej zasilała czasopisma „Bluszcz", „Kobietę współczesną" i „Tęczę".

Pozatem doskonała znawczyni języka francuskiego, robiła dużo i dobrych tłomaczeń utworów Piotra Benoit.

Bogaty był więc dorobek jej pracowitego żywota.

Ostatnie lata życia, znużona ciężką chorobą, nie mogła już się oddawać tak ukochanej przez nią, pracy literackiej, jednak do dnia ostatniego, interesowała się wszelkiego rodzaju przejawami życia umysłowego, szczególnie bliskie jej były prace kobiet, koleżanek po piórze.

Nie znając zawodowej zazdrości ani zawiści, całem sercem cieszyła się ich powodzeniem.

Dla wszystkich miała nieprzebrane zasoby przyjaźni i życzliwości — cechy prawie nie spotykane w obecnej, ciężkiej, codziennej walce o byt.

Szczery żal wszystkich, co ją znali, towarzyszy jej do grobu.

Niech jej ta ziemia ojczysta, którą tak ukochała i której całe życie służyła lekką będzie.

Elżbieta Kiernarska.

Z teki zmarłej autorki

Hymn do słońca

Ciebie ja rzywam, Radości życia,
Od blasków skrząca
I ciebie wielbię, Młodości bujna,
Młodości rwrząca!

Nie chcę nirwany, nie chcę skrzepłego,
Jak lód spokoju,
Ja życia pargnę i pić je pragnę
U szczęścia zdroju!

Ja pragnę czary po brzegi pełnej,
Czary pienistej,
Ja pragnę pieśni jak uśmiech słodkiej
Jak żar ognistej!

Pragnę twych oczu wpatrzonych we mnie,
Niemej pieszczoty
Uśmiechu szczęścia, co drży na wargach,
Jak motyl złoty!

Pragnę, by dusze skuły się nasze
Pieśnią i snami
I myśli dumne, jak ptaki lotne,
Płomienne skrami.

I z tobą lecieć przez słońca żary,
Przez gwiazd miljony,
Ty, królewiczu z tęczowej baśni,
mój śnie wcielony!

William Locke

Uzurpator

Przekład autoryzowany
Ludwiki Ciechanowieckiej

Powieść

Zegary wydzwaniały czwartą.

Po krótkim wypoczynku Jasper zabrał się do pracy. Owego dnia miał wygłosić popołudniu mowę w North Ham, na Zgromadzeniu wyborców. Meeting zapowiadał się burzliwie. Wickens, przed którym przestrzegano Jaspera rozwijał gwałtowną antyrządową agitację, o obronie praw ludzi. Poty rozpuszczał pogłoski, o projektowanej podwyżce cen chleba i węgla, aż wywołał ferment wśród rzesz robotniczych i skupił wokoło siebie pokaźną liczbę zwolenników. Jasper musiał więc niezwykle starannie opracować mowę i przygotować się, do dyskusji. Znalazł jednak chwilę czasu, by odwiedzić Bunny'ego.

W drzwiach natknął się, na gospodynię, która oświadczyła mu, że pan Tredgold wyniósł się nie podając nowego adresu. Zabrał ze sobą tylko jedną walizkę. Podobno jakiś jego przyjaciel, nazwiskiem Vellacot, ma się zająć resztą bagaży. W razie gdyby się nie zgłosił, rzeczy przejdą na własność gospodyni.

— Strasznie był zdenerwowany — ciągnęła dalej opasła jejmość, w papilotach na głowie. — Wcale się nie kładł spać, i nic nie jadł na śniadanie.

— Nazywam się Vellacot — rzekł Jasper — proszę panią zaopiekować się rzeczami mojego przyjaciela. Zgłoszę się po nie za dwa dni.

Późnym wieczorem, po powrocie z North Ham Jasper zastał w domu list od Bunny'ego.

— Myślałem o tem wszystkiem trzeźwo i spokojnie — pisał Bunny — wierzaj mi, że jestem zupełnie normalny, a jednak uświadomiłem sobie, że po tem, co zaszło dłużej zostać tutaj nie mogę. Nie mogę już pisać wierszy. Malarz któremu odbiorą wzrok nie może malować. To chyba jasne? Gdybym przyjął twoją ofertę, tobym się skazał na tortury. Musiałbym malować chociaż oślepłe oczy nie rozróżniają barw... Pozostały mi jednak inne dziedziny. Mogę polować i jeździć konno i mówić prawdę. Pozatem kocham namiętnie mój kraj. Ojczyzna mnie nie zdradzi. Oddam jej to, co jest we mnie naprawdę wartościowego. Zaciągnąłem się do pułku, który ma niebawem wyruszyć na front. Pułkownik był przyjacielem mojego ojca, więc przypilnuje, żeby mnie nie zadekowano na tyłach armji. Nie troszcz się o mnie. Jestem wytrzymały i odporny, jak koń. Dam sobie radę w szeregach. Będę teraz walczyć z rzeczywistością, a nie z upiorami.

Załączam coś w rodzaju plenipotencji. Nie śmiej się ze mnie. Ja wiem, że jestem dziecinny. Nie mam zadatków na businessmana. Wolno ci prowadzić moje sprawy według własnego widzimisię.

Wolno ci ogłaszać drukiem moje wiersze, czytać moje listy — o jedno tylko cię proszę — nie przysyłaj mi żadnych listów, które nadejdą pod moim dawnym adresem.

Zabieram ci czas, drogi przyjacielu, narzucam ci się i narażam, na kłopoty... Nie czyniłbym tego, gdybym cię nie kochał.

Pozdrawiam serdecznie naszą drogą lady Alicję. Chciałem do niej napisać, ale nie zdobyłem się na to. Powiedz jej to co będziesz uważał za wskazane, możesz nawet wyznać jej całą prawdę. o niestałość w przyjaźni. Nie zapomniałem Rób co chcesz, aby tylko nie posądzała mnie, o niej!

Człowiek to śmieszny twór. Jestem przekonany, że gdybym cię poprosił o dwadzieścia tysięcy funtów — bez wahania wypisałbyś czek i wręczył mi go z uśmiechem, a jednak cenię sobie bardziej uścisk twej przyjaznej dłoni. Kładąc mi rękę na ramieniu gdy się wiłem w bólach, wyświadczyłeś mi nierównie większą przysługę niż gdybyś mi oddał cały swój majątek. Niech Bóg cię błogosławi.

Twój wierny Bonamy.

Jasper długo siedział przy kominku, z nieodłączną fajką w ustach. Wyrzucał sobie, że nie sprowadził siłą Bynny'ego na Gower Street i nie postawił przy nim warty. Teraz było zapóźno.

Myśl o spotkaniu z lady Alicją, której trzeba będzie zdać dokładne sprawozdanie, napełniała go lękiem. Strząsając popiół z fajki przyrównywał siebie do braci biblijnego Józefa, którzy zapewne odczuwali tę samą trwogę, gdy ich zapytano o los najmłodszego Benjamina.

Rozdział XIV.

— Co to wszystko znaczy? Więc Bunny poszedł na front? — zapytała Eleonora Currey, stając na progu salonu lady Alicji.

— Tak. Bunny wstąpił do wojska — odrzekła Alicja ze smutkiem.

Eleonora z roztargnieniem musnęła ustami włosy Alicji i uścisnęła dłoń Jaspera, poczem rzuciła się na niską kanapę.

— Właśnie mi o tem mówiła Pola Edory, więc przyleciałam do ciebie po bliższe informacje. Niesłychana historja! Co go skłoniło do tego?

— Chce walczyć w obronie ojczyzny — odpowiedziała Alicja.

— Ależ to szaleństwo. To nienormalne — oburzała się panna Currey — nie jego interes. Dla-

czegoście go puścili. Trzeba było przykuć go łańcuchem do muru. Pomyślcie tylko! przecież może mu się coś złego przytrafić!

— Nie chcę o tem słyszeć Elo. Bunny'emu nic złego nie może się zdarzyć.

— Dlaczego pan Vellacot go nie powstrzymał?

— Uciekł od nas, zwiał bez śladu. Poprostu poczuł nagle chęć wyładowania wrodzonego patrjotyzmu. Bunny zawsze spełnia swe zachcianki. Poeci tem właśnie się różnią od ludzi przeciwnych.

— A ja dlatego nazywam go amoralnym — krzyknęła Eleonora — jest amoralny, bo jest poetą. Wielki poeta ma inne obowiązki względem swej ojczyzny. Nie jego to rola maszerować w takt bębna. Są u nas miljony żołnierzy, ale tylko jeden Bonamy Tredgold. Daj mi spokój! — żachnęła się, na widok przysuwanej przez Alicję tacy z herbatą, — nie będę pić herbaty. Jestem zanadto zdenerwowana. Pocieszam się myślą, że ta wiadomość o Bunny'm, to złośliwa, głupia plotka.

— Mojem zdaniem Bunny postąpił niezwykle szlachetnie — odparła Alicja, przyglądając się z udanem zailnteresowaniem swoim pierścionkom. — Nie jest stuprocentowym mężczyzną ten, kto niema zadatków na wojownika. Bunny pochodzi z rodu rycerzy. Jego antenaci ginęli na polu chwały, pod Naseby i Blenheim, pod Fontenoy i Vimiera. Dziad jego służył w armji. Bunny ma żyłkę do wojaczki. Musiał iść. Tak mi się przynajmniej zdaje.

W oczach Eleonory odmalowało się zdziwienie.

— Alicjo! Ty przecież byłaś zawsze przeciwniczką wojny, a teraz gotowa jesteś powiedzieć, że sama wetknęłaś mu miecz do ręki. Ach ty spartańska matko! A pan, panie Vellacot — czy także jest pan zdania, że genjuszom wolno lekkomyślnie rozporządzać swojem ciałem i rzucać je armatom, na pożarcie?

— Wierzę iż człowiek powinien dążyć — prostą drogą do celu, który uznał za właściwy — rzekł Jasper — dużobym dał, żeby sprowadzić Bunny'ego spowrotem, ale w tej chwili podzielam zdania lady Alcji.

— Co? pan trzyma stronę Alicji? Nie pojmuję Was — oburzała się Eleonora — gdy Was słucham dochodzę do wniosku, że zmówiliście się razem, żeby się pozbyć Bunny'ego. Jak się nazywa jego pułk?

— Nie wiemy i nie mamy możności sprawdzić tych szczegółów — odpowiedział Jasper.

— Ale chyba zostawił wam jakiś adres?

— Żadnego.

— Poco ja tu czas tracę, skoro nie wiecie nawet tyle, co Pola Edory. Niepotrzebnie wydałam, na cab'a. Aż dwa kursy. Eh! jesteście niemożliwi!

— Trochę litości, panno Currey — zaśmiał się Jasper — zapewniam panią, że się bardzo niepokoimy, o Bunny'ego.

— A swoją drogą nie mogę zrozumieć dlaczego został szeregowcem. Jest przecież dżentelmenem.

— Moja droga — przerwała jej lady Alicja — Bunny w każdej okoliczności życia jest dżentelmenem.

— Dowidzenia! — zawołała Eleonora — idę już. Może mnie kiedyś odwiedzisz. W tej chwili stanowicie większość, która zwalcza mniejszość. To nie jest fair play...

Po jej wyjściu Jasper podszedł do Alicji.

— Cieszę się, że się pani tak mile wyraża, o Bunnym.

— Trzeba się przygotować nato, że obcy ludzie będą nas zamęczać pytaniami...

— W każdym razie znalazła pani właściwe wyjście z kłopotliwej sytuacji. Broniła pani męskości zniewieściałego poety. Kto wie, czy ta przygoda nie wpłynie dodatnio i na jego twórczość, bo na nieszczęśliwą miłość wojna bywa dobrem lekarstwem. Serce przeszyte kulą...

— Co pan mówi! — krzyknęła Alicja.

— Dlaczego mam milczeć. I to jest możliwe... Nikt nie zdoła się wyzwolić z przemocy odwiecznych praw. Wojna łamie i ujarzmia zarówno tych, którzy się dekują jak i tych, co walczą w otwartem polu.

— Poco nam to wszystko! — jęknęła Alicja.

— Odpowiedź znajduje się w pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju ludzkiego...

Owa dyskusja toczyła się w mieście, po zniknięciu Bunny'ego. Gdy Jasper zjawił się u Alicji z hjobową wieścią, zgodziła się wysłuchać jego relacyj tylko o tyle, o ile przyczynią się do wyjaśnienia niektórych punktów listu.

Uprosiła go jednak, by nie wymieniał nazwisk, i żeby zaniechał ujawnienia przykrych szczegółów. Wystarczała jej świadomość, że ucieczka spowodowana została zawiedzioną miłością. Skoro przeczytała list do końca popatrzała w dogasające drwa na kominku, a potem powiedziała spokojnym głosem.

— Ludzie zakochani popełniają jeszcze większe szaleństwa!

Ani razu nie zapytała Jaspera dlaczego niedość pilnował Bunny'ego, ale po jego wyjściu popadła w smętną zadumę.

Ongiś zazdrościła kobiecie, która stała się natchnieniem poety — dzisiaj jej nienawidziła.

Teraz dopiero odrzuciła maskę stoicyzmu, w którą się stroiła w obecności Eleonory. W głębi duszy podzielała jej poglądy. Wcale jej nie podniecała myśl, o bohaterstwie Bunny'ego, czuła bowiem że główną jego pobudką nie jest patrjotyzm, tylko miłość. Postanowiła jednak w dalszym ciągu wobec ludzi kłamać dla dobra Bunny'ego, ratując w ten sposób jego dobre imię. Zczasem tak się wciągnęła do nowej roli, że wkońcu uwierzyła, iż jest matką spartanką, która dobrowolnie rozstała się z ukochanem dzieckiem...

Mijały miesiące. Bunny nie dawał znaku życia. Rzekłbyś wsiąknął, rozpłynął się w mętnej, brunatnej fali ludzkiej, pełznącej w kierunku frontu. Jasper zajął się uporządkowaniem jego finansowych spraw, rychło jednak przekonał się, że rola pełnomocnika Bunny'ego nie będzie ani trudna, ani uciążliwa. Bunny przed wyjazdem popłacił długi i rachunki, wydał też dyspozycje co do rękopisów, przygotowanych do druku.

Vittoria również zniknęła z pola widzenia przyjaciół poety. Właścicielka kawalerskiego mieszkanka, które odnajmował Bunny opowiedziała Cudby'emu, że w parę dni po ucieczce „suplikatora" zgłaszała się jakaś przystojna „bronetka" i bardzo się dopytywała, o pana Tredgolda. Gospodyni zaraz wyczuła, że to osoba podejrzanej kondycji, więc ją zbyła krótką informacją, o odjeździe pana Tredgolda, na front. „Bronetka zbielała na twarzy i nie pisnąwszy ani słowa wyniosła się jak niepyszna".

Jasper wysłuchawszy sprawozdanie Cudby'ego doszedł do wnisku, że sprawa Vittorii została raz na zawsze zlikwidowana. Pragnął tego gorąco.

(D. c. n.)

SPOŁECZEŃSTWO OKRĘTOWE

Zbiorowa wycieczka „Dokoła Europy“ — perspektywa miłych wrażeń, emocja podróży, radość... ale i odrobina strachu... Przed falami? Nie. Przed tą właśnie zbiorowością, przed bliźnimi.

Ludzie w dużej gromadzie bywają czasami trudni do zniesienia. zwłaszcza w ciasnej przestrzeni naprzykład na okręcie. Może właśnie tu, w czasie długiej podróży morskiej, najjaskrawiej występują śmiesznostki i ułomności ludzkie, niedołężność życia zbiorowego. Grzeczność, poczucie karności — to rzadkie zalety. Dużo zato snobizmu. rozpychania łokciami, nawet chamstwa. Każdy jest tu pierwszym i tylko pierwszym. Dość spojrzeć na dumnie wzniesioną głowę, usłyszeć niedbale rzucone zdanie:

— Ja, panie dyrektorze, nie zachwycam się Sewillą, cóż w niej specjalnego?

Takiemu nie imponuje wystawa Brukselska, przepych Alkazaru, egzotyzm Algieru, ani brud arabskiego rezerwatu, Casbah. Jemu nie imponuje nic. Poco, u djabła, zaszczycił okręt swoją obecnością?

Typ zblazowanego globtrottera, który na wszystkich morzach i lądach czuje się, jak u siebie w domu, staje się bardzo popularny.

Na okręcie popularną jest również tak zwana szczebiotuszka. Przebrana za dzielnego marynarza, szuka okazji, aby nawiązać nikłą pajęczynkę flirtu. Pokazuje w przestrzeń na chybił, trafił różowym paluszkiem i pyta rezolutnie napotkanego oficera:

— Panie poruczniku, czy to już widać Afrykę?

Inna dama w jaskrawej pijamie, z parasoleczką, w wielkiem sombrero (dzień pochmurny), z kotwicą na piersi, z torebką w dłoni — chwieje się na stromych schodkach, między gęsto ustawionemi leżakami, pragnąc w jakimś gorączkowym pośpiechu zaprezentować swój wymyślny kostjum. Wygląda, jak ucieleśnienie groteski. Lecz oto „martwa fala“ robi swoje: strojna pani blednie i ucieka czemprędzej do kajuty...



Chcesz poddać się urokowi krajobrazu...

Są znów panowie mądrzy, rozsiewający wiedzę z Bedekerów i własnej praktyki hojnie i głośno. Czy kto chce, czy nie, przy stole, czy na pokładzie musi wysłuchać kształcących pogadanek. Przez myśl takiemu nie przejdzie, że bliźniemu przeszkadza — ktoby na drobnostki zwracał uwagę! Albo kogo przejmuje regulamin: „Od godziny dwudziestej trzeciej obowiązuje na korytarzach cisza“? Ach, te hałasy w cienkościennych koszarach kajutowych! O drugiej w nocy wraca jakiś wesołek z dancingu; zaznacza swoją niezależność głośnem gwizdaniem. On bohater, on się nikogo nie boi, nawet morskiej choroby! Śpiewa sobie chłopaczyna ochoczo wesołą aryjkę. Można nie znać swoich sąsiadów, ale zna się ich głosy. Dwie przyjaciółki z lewej kabiny zwierzają się co wieczór, nie siląc się na szepty:

— Miły, nie? Zaprosił mnie na jutro znów...

— Trochę stary...

— Nie szkodzi. Czy, który młody na te czasy ma pieniądze?

— Swoją drogą. Ty masz szczęście, Salusia...

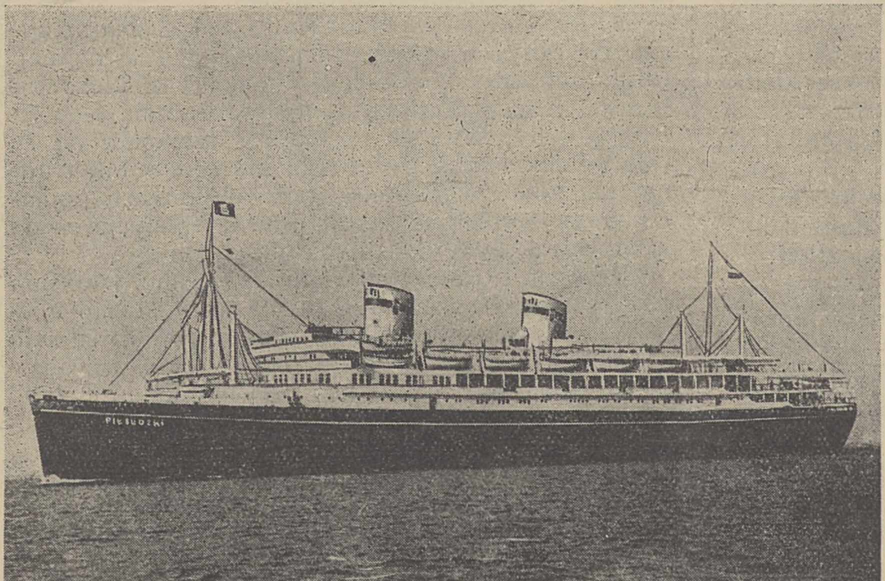
— Co z Danusią, nie wiesz?

— Co ma być? Leży już trzeci dzień. U nich, w kajucie, to wszystkie cztery chorują, ale jak! Wzywają nagłej śmierci, żeby przyszła...

— Biednia Danuta, ona tak liczyła na ten statek...

I „Kościuszko“ może zrobić zawód...

Atlantyk kołysze nie na żarty. W wielu kabinach leżą chorzy. Choruje również stewardessa, ledwie się trzyma na nogach. A tu ciągle dzwonki, dzwonki, polecenia — nie można nadążyć. Wreszcie koło północy jaki taki spokój. Nagle znów dzwonek, na alarm, gwałtowny, długi... Czy kto zemdlał, czy umiera? Nie. To tylko jed-



Naprzeciw nieznanemu...

na z pań zapomniała zamówić na jutro wannę. Rozkazuje teraz głośno:

— Więc o siódmej kąpiel dla mnie! Proszę pamiętać! Ja płacę — ja wymagam!...

Rano poznaję tubalny głos sąsiada:

— Stewardessa! Moja żona nie zejdzie do jadalni! Proszę tu śniadanie! Sucharki, marmolada, owoce... tylko zaraz, słyszy pani? Doczekać się nie można! Trzy razy dzwonię, co to jest? Statek rozniosę! Poskarżę! Jak Boga kocham, statek rozniosę!

O, z takimi zabijakami niema żartów!

Inny znów, biedaczek, szuka współczucia:

— Chciałem dwie pomarańcze, a ten kelner mówi, że może wydać tylko w godzinach posiłków, że teraz niema! Jak on śmie tak powiedzieć? Skandal! Tyle pieniędzy płacę, nic nie jem, a oni mi pomarańczy żałują! Jak się to komu podoba? Poco ja tu przyjechałem? Ja, panie, własną willę mam, samochód, a tu mnie nikt nie szanuje!...

Na lądzie nie lubię brydżystów, ale tu pozyskali moją sympatję. To najmniej szkodliwa jednostka społeczeństwa okrętowego. Dniami i nocami siedzi przy stoliku, kołysze czy nie kołysze, Grecja czy Hiszpanja, nikomu nie wchodzi w paradę. Nie tłoczy się wraz z innymi przy wyjściu — ostatni zejdzie na ląd, bo musi rozegrać partję...

Rozmaicie można wykorzystać wycieczkę. Tak też pewnie myślał ten sympatyczny młody człowiek, który zebrawszy wśród pasażerów sporą sumę „na prezent dla kochanego kapitana", został samotnie w Atenach...

Pasażerowie są czasami jak dzieci — byle co ich zabawi. Z jaką pasją hazardują się na wyścigach drewnianych koników! Jakim krzykiem witają delfina. Niby rzadki okaz oglądają pierwszego śmiałka, który odważył się zanurzyć w basenie kąpielowym. Biedne, znudzone dzieci... A jakże często niesforne, hałaśliwe, źle wychowane! Naprzykład takie dziecko chce sobie kupić melona w Cadix'ie, w ostatniej chwili przed odjazdem statku... I potem musi doganiać w motorówce zmartwionego „Kościuszkę". Szkoda, że miły „Kościuszko", który tak dobrze wytresował swój personel, nie może wychować dla siebie publiczności.

Troszkę dobrej woli, samokrytycyzmu! Dlaczego, jeżeli czytać gazetkę okrętową, to koniecznie na głos, żeby inni nie mogli czytać pocichu? Dlaczego, jeśli fotografować, to w sposób burzący spokój otoczenia?

Takie prześladowania, to oczywiście drobiazg. Najgorsza plaga hiszpańska, arabska, turecka — to pewna dama, obdarzona przez niebiosa, ruchliwym językiem i wadą wymowy... Chcesz patrzeć cicho w gwiazdy południowego nieba? Chcesz poddać się urokowi księżycowej nocy? — Wykluczone! Nie znajdziesz cichego miejsca na okręcie, wszędzie przyjdzie ona, żywe niebezpieczeństwo, groza gadulstwa, i dalejże paplać bez przerwy, wytrwale, o niczem... Musisz słuchać, musisz, musisz... Przecież jej wolno! Ona nie zrozumie spojrzeń wymownych, ani chrząknięć, ani gestów protestu! O, rozpaczy! Ta sama dama jechała obok ciebie w pociągu. Spotkałeś ją w restauracji i w hotelu. I jeszcze w cukierni. Została wreszcie, została we Lwowie! Dobre, kochane miasto Lwów...

Jadwiga Korczakowska.

JEJ PRACE I ZAINTERESOWANIA

(Kwadrans z Grywińską)

Twarz Grywińskiej przypomina portrety Żmurki. Jej usta są tak samo pełne, powieki tak samo ciężkie. Ale, gdy odchylone zmysłowo, głowy kobiet Żmurki, kryją w sobie spokój znużenia może rozleniwienia, twarz Grywińskiej przedewszystkiem wyraża życie. Niepokój, skupienie, energja, ukryły się w linji brwi prostych, rozedrganych na czole. Usta, łatwe w uśmiechu, zmieniają mocny wyraz rysów w nieoczekiwaną promienność.

— Początki, marzenia, zainteresowania najmłodsze? — mówi w zamyśleniu. — Marzeń nie było. Pragnienia sztuki w formie ekspresji scenicznej zbudziły się nagle. Dojrzewały zresztą przez dłuższy czas, w zupełnej nieświadomości, na nieporównanem tle. Tłem tem było Drezno. Drezdeńska opera, teatr, muzea. Chodziłam po świątyniach sztuki z otwartemi chciwie oczami. Uczyłam się języków — takie były moje początkowe zamierzenia, — a jednocześnie chwytałam oczami, nerwami, wrażenia inne. Wrażenia te z czasem w wewnętrznej transformacji przybrały ściśle określony kierunek. Cel wydawał mi się jeden: sztuka— drogi do niej nie rysowały się jeszcze wyraźnie.

Po powrocie do Polski zaczęłam pracować w teatrze.

— A taką miałam tremę — mówi, wspominając Lwów i serdeczne przyjęcie, jakie ją tam spotkało ze strony publiczności. Uśmiech długo nie chce odejść z twarzy Grywińskiej. Po chwili jednak znowu brwi jej układają się w chrakterystyczną linję skupienia.

— Nie zaczynałam od małych ról. Może to szczęście, a może wynik pracy i odpowiedzialnością, jaką, grając, odczuwam.

— Właśnie coś z tego zakresu. Forma ekspresji scenicznej wskazuje na ciekawą pracę i głębokie ujmowanie psychologiczne odtwarzanych przez panią sylwetek.

— Podchodzę do każdej roli ze świadomością odpowiedzialności. Filtruję ją. Badam. Po opracowaniu pamięciowem przeżywam. Praca nie jest łatwa—wyczerpuje. Mam szczęście do sztuk „długodystansowych" 125 razy doprowadzać się do płaczu, przeżywać co wieczór gorączkę, czując ją faktycznie, dzięki przeżyciom wewnętrznym, związanym z losami bohaterki — pani rozumie — to raczej męka, jeśli chodzi o formę ekspresji dramatycznej. Radość przychodzi wcześniej, gdy się pracuje, przygotowuje. Przychodzi także potem razem ze spokojem odpoczynku.

Komedja jest łatwiejsza dla odtwórcy— dramat ciekawszy. Komedja jest konieczna w rozwoju aktora, jako pewna odskocznia, ale najgłębsze przeżycia dać może dramat, odzwierciadlający różnorodne odczuwania człowieka.



Jako tłumaczkę ciekawią mnie w sztukach zagadnienia potrzeb i tęsknot ludzkich. Do tłumaczenia „Matury" skłoniło mnie właśnie jej tło i aktualne zagadnienia bytowania nauczycielstwa, wegetacji niewybiegają-

cej poza ramy beznadziejności. Nie interesują mnie jako odtwórczynię kobiety naiwne, lub sentymentalne, ze sztuk starego repertuaru. Kobiety pokrzywdzone wskutek warunków, nieszczęśliwe, lecz mocne, kobiety walki i pracy — to najbliższe dla mnie sylwetki.

Zagadnienia społeczno - etyczne, problemy krzywdzącej niesprawiedliwości i postacie kobiece na tem tle występujące są materjałem dla najżywszych moich zainteresowań, i studjów odtwórczych...

— Przypominam sobie naszą najciekawszą pracę nad sztuką, której początkowo nie zamierzałyśmy nawet wystawiać w teatrze. Było nas trzy. Cztery miesiące pracowałyśmy nad pogłębieniem sylwetek „Sprawy Moniki", nad budowaniem całości. Osterwa, obecny na jednej z prób, zaproponawał nam wystawienie sztuki tej w „Reducie". Powodzenie przewyższyło nasze oczekiwania.

Przypomina mi się także sztuka „Cjankali", która w swoim czasie narobiła tyle hałasu. Śmiała w temacie, wywołała wiele sprzeciwu. Chodziło nam o założenia sztuki, o ważne problemy. Pracowaliśmy w warunkach przykrych demonstracyj, pod nadzorem policji.

Rozmowa z p. Grywińską nie chce mieścić się w ramach wyznaczonego czasu. Otwierają się nowe tematy, zagadnienia. Jedne po drugich, jak paciorki różańca, przesuwają się w zdaniach, w skrótach myślowych, ustępując miejsca nowym.

Anna Śmiałowska.

Kobiety z małego miasteczka

(Dokończenie)

Ewa z apteki, Anka i Elżunia, roześmiana nie w porę, patrzą na ekran, każda inaczej, każda subjektywnie kojarząc wypadki na płótnie z własnemi myślami i przeżyciami.

* * *

Gdy w sklepach ratusza tlą się oszczędne lampki, a na ulicach mrok utrudnia kroki, Anka rozmawia z Ewą w aptece, czekając na pocztę. Tu odbiera listy z Warszawy, karty od dalszej rodziny „u nas postaremu", listy zamykające szczęście w szarych kopertach.

Ewa otrzymuje z poczty tygodnik i gazety codzienne. I niewiadomo, czy zazdrości tych listów w szarych kopertach, przy których otwieraniu ciemnieją nagle oczy Anki. Ewa przegląda wtedy gazety i pyta zupełnie cicho i obojętnie, czy treść listu nie przynosi nic złego.

Nie, nie przynosi nic złego. Anka musi iść już do domu, tylko jeszcze to lekarstwa, co już raz było brane. Ewa szykuje lekarstwo w głębi apteki, a światło, padające zgóry na jej pochyloną głowę, nadaje obcy wyraz jej zmienionym nagle rysom.

Gdy Anka wychodzi z apteki, Ewa czyta jeszcze dzienniki — wiadomości ze świata, z życia, z uczelni. To znaczy „stamtąd". I czytając, wie przytem, że to wszystko jest inne i dalekie, a tutaj nic się nie zmieni. Wie. że to „inne" już było, a teraz będzie zawsze wszystko takie jak jest. Był uniwersytet, teatr, reflektory w karnawale, radość z dyplomu.

Teraz jest posada. Kręcenie proszków w białych, głębokich miseczkach, zabawa w magistracie w czasie letnich manewrów, granatowe czapeczki i mundurki, które można oglądać przez okno na podwórzu gimnazjum poto, żeby codzień stawiać granicę między tem, co było, a „życiem właściwem", na które się w mundurku czekało.

* * *

W czwartek miasteczko się ożywia. Zapełniają rynek furmanki, budy płócienne, kryjące połcie słoniny i kiszki napchane kaszą, stoły rozstawione naprędce z beczkami, z koszykami o wilgotnych jeszcze plecionych gałązkach.

Miejscowi żydzi „ze stołków" mają na twarzach rumieńce; krzyczą, przywołują zagapionych chłopów w cholewach i zuchwale roześmiane dziewczęta. Te żydki „ze stołków", z pokurczonemi w zimie w stawach palcami, przywartemi zbyt blisko do rozżarzonych w garnkach węgli, nabierają na wiosnę, w lecie, niespodziewanej energji, która Ewie z apteki wydaje się nieusprawiedliwiona, gdy chodzi o ich życie.

Anka kupuje ser i masło na rynku. Niesie dwa ciężkie koszyki. nabite zapasami. Sąsiadka z domu, w którym mieszka Anka, kupiła koguta na niedzielny obiad. Anka się namyśla.

Rejentowa naturalnie u Małki.

— Taki ruch — mówi Małka, rozkładając ręce. — Pod wieczór, paniusia, wszystko pokażę. Sprowadzone. Przecież, a jakby inaczej?

I odmierza drewnianym kijkiem kreton w kwiatki na suknię zamyślonej tępo dziewczynie.

Małka radzi, przymierza, interesuje ją ewentualny krój każdej sukienki.

— Tylko falbanki — mówi z przekonaniem. — Pół metra więcej, ale na całą wieś takiej drugiej panienka nie znajdzie.

„Panienka" waha się, rachuje.

— Niech! — rzuca prędko, nie umiejąc ukryć radości, jaką sprawia ją jej czerwone kropki na jasnem tle, odmierzanego szybko, materjału.

* * *

— Myślałam, że praca wypełni życie. Wypełnia — może. Ale pustka odpoczynku nie daje się niczem zastąpić — mówi Ewa, idąc drogą poszarpaną rowami i nierówno po bokach ściętemi zagonami pól.

— Trzeba szukać radości w sprawach najważniejszych i w drobiazgowych, Ewo, w najgłupszych zdarzeniach.

Ale myśli Anki nie mogą zbiec się w jedną linję z myślami towarzyszki.

Szczęście — to zdrowie kogoś najdroższego na świecie, to dracena, którą podarowała wczoraj praczka, to wciągnięte na nogi czyste pończochy, świeżo pocerowane, to czyjś przyjazd i czekanie, to bronzowy od słońca w odbiciu lustra kolor twarzy. Tak czuje Anka, gdy idzie z Ewą pod rękę i gdy są bardzo sobie dalekie.

* * *

Premjera prawdziwego dźwiękowca napełniła radością miasteczko, zanurzone w ciemności wieczoru. Małka ze sklepu bławatnego długo prowadziła „uczone" rozmowy o wynalazkach z Simsią od gwoździ z naprzeciwka. Obawa przed brakiem miejsc na sali była zupełnie uzasadniona, więc wiadomość o zakazie dyrektora gimnazjum, zabraniającego obejrzenia filmu uczniom, sprowadziła pewną ulgę.

Kino dźwiękowe nie zastąpi teatru i nie zastąpi książek, których zapas w magistracie się wyczerpał, ale dźwiękowiec to już jest coś, co wchodzi w skład repertuaru rozrywek stolicy, co jest udziałem tamtych, mieszkających wśród neonów i kultury.

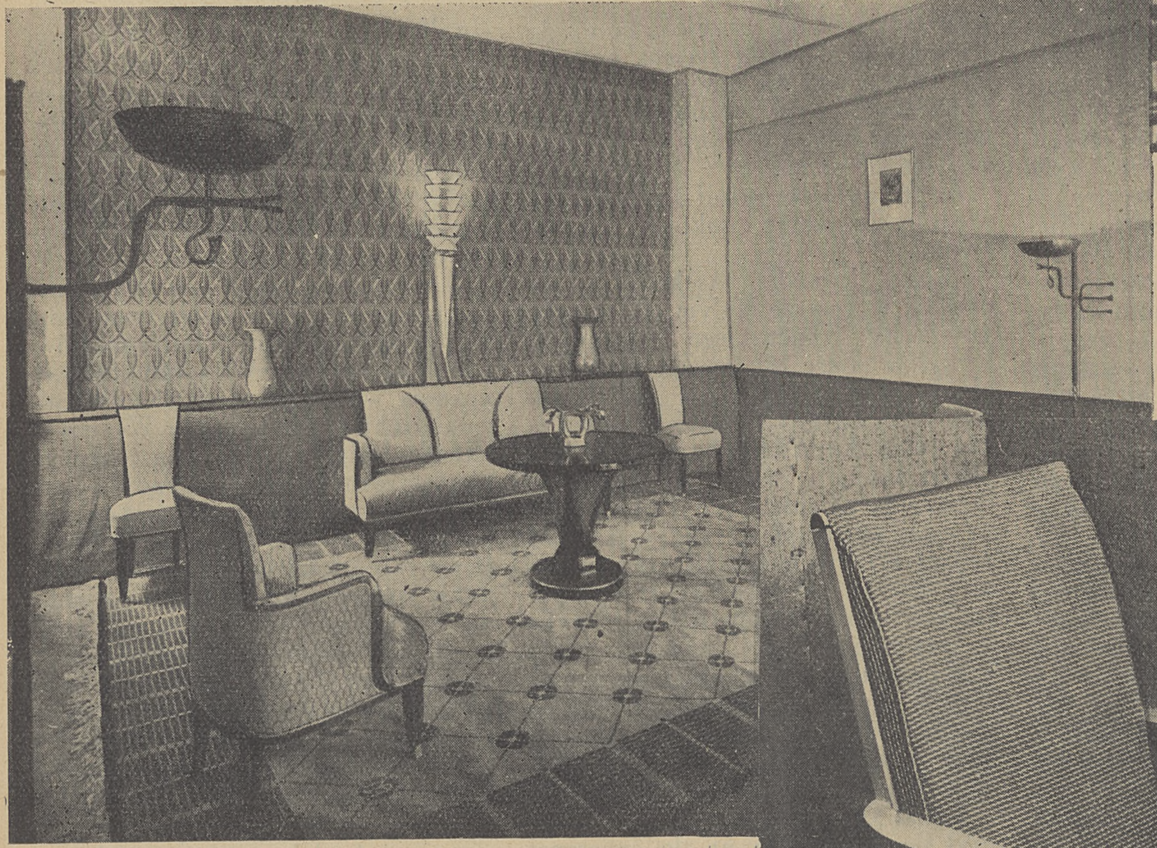
I choć „kaktus" nie był już tak bardzo nie do zniesienia, przecież radość z premjery dźwiękowca każe Ewie z apteki powiedzieć w zupełnem rozjaśnieniu:

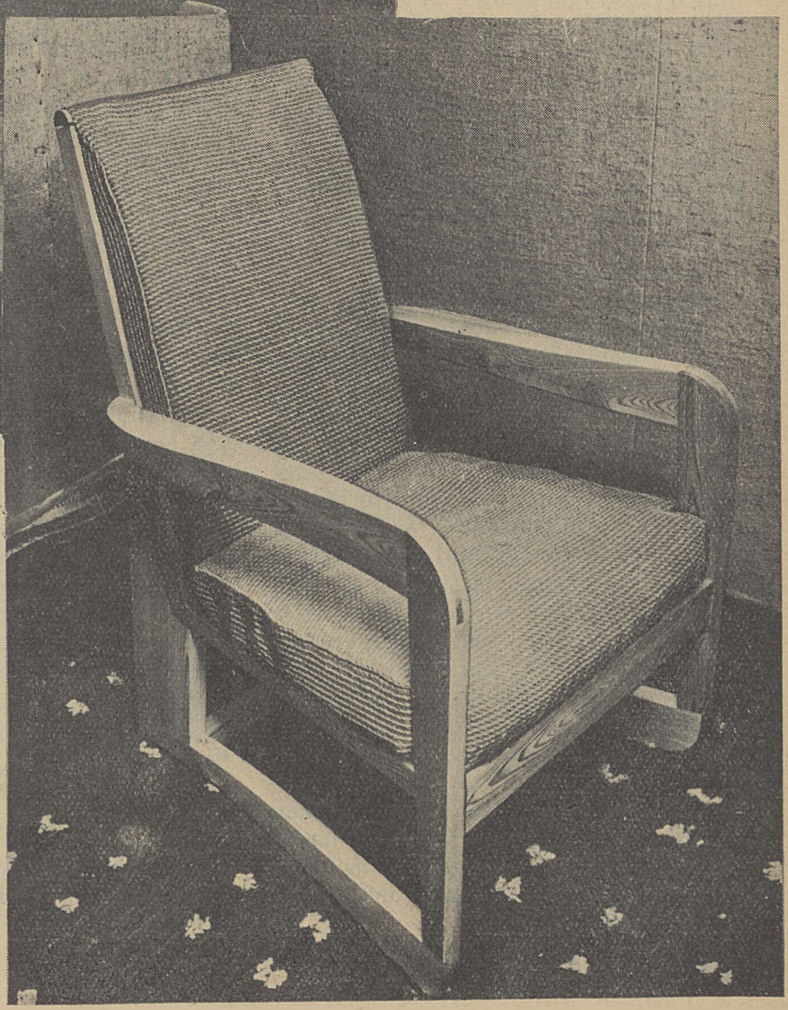
— Teraz to już będzie inaczej.

Klara Sołonowicz.

FRAGMENTY WYSTAWY ŁADU







Pokój mieszkalny — sosna palona — kanapa, łóżko i sekretarzyk.
Projektował arch. Roman Schneider.
Salon — proj. Marjan Sigmund.
Fotel — stara sosna proj. Marja Bielska Kuczyńska

Z TEATRÓW

Bajki o Kopciuszku mają tysiące wersyj, od zupełnie naiwnych do bardzo perwersyjnych, ale każda z nich czaruje wdziękiem; ukryty jest on w talizmanie niedorzecznych nadziei, głoszących, że pokrzywdzona pasierbica może zostać żoną króla, a mała gierls'a, księżną (dawno grany „Domek z Kart") a... córka zubożałej generałowej — hrabiną. Gradację tytułów zachowano właśnie w „Trafice Pani Generałowej" w sztuce dzięki której Teatr Malickiej stał się teatrem „długodystansowym".

Otóż ten hrabia — z trafiki — nie, przepraszam, dziewczyna jest z trafiki, a hrabia z pałacu — zakrojony z początku na miarę zwykłego bubka, pod koniec staje się niemal bohaterem: żeni się z milutką, ale zupełnie biedną dziewczyną. Prawda, że nie myślał o tem, zanim nie dowiedział się, że dziewczyna jest bądź co bądź dobrze urodzoną, ale zawsze... stawał bez żenady za ladą w sklepie — wiedząc zresztą zgóry, że to jest chwilowe.

Tak oto mniej więcej wyglądałby problem sztuki, gdybyśmy koniecznie chcieli go odszukać. Nie chcemy. Sztuka ma doskonały humor, doskonałą reżyserję i doskonałą grę. Może Kamińska jest troszkę, troszeczkę „za dużo", ale to nieważne. Reszta z Malicką na czele — bez zarzutu. Wiadomo, że Malicka, jak nikt potrafi wygrać na scenie swój prawdziwy, życiowy wdzięk.

No oczywiście są różne gatunki wdzięków, nie obrazi się chyba nikt jeśli powiem, że Zelwerowicz rolę Jourdain'a w Mieszczaninie Szlachcicu Moliera zagrał także z ogromnym wdziękiem, pomimo iż było to raczej sprzeczne z intencjami Moliera. Cóż, wiadomo, że pisarze dawnych epok nie bawili się w komplikacje psychologiczne. Zły — to zły — dobry to dobry; dawali typy krańcowe — i dlatego tendencje ich były zawsze niewątpliwe.

Jourdain Zelwerowicza budzi u wielu wewnętrzne zaniepokojenie: właściwie należałoby gardzić tym Jourdainem, skoro ma on ośmieszać tak paskudną wadę jak snobizm (za czasów Moliera słowo to nie było jeszcze tak ważne, jak dzisiaj) a tu jak na złość poczciwy, garnący się do wiedzy, naiwny grubas budzi dużo sympatji, czyżby snobizm stał się do tego stopnia narodową wadą, że przestajemy, nań ostro reagować? Przypominają się nagle wszelkie dysputy na temat użyteczności snobizmu i w tej sytuacji krzykliwa Pani Jourdain, świetnie zresztą zagrana przez Janecką, staje się w naszych oczach wręcz antypatyczną. Czy tak chciał Molier — napewno nie, ale tak patrzy na te sprawy człowiek dzisiejszy i tak spojrzał na nią inteligentny artysta — Zelwerowicz. Całe szczęście, bo dzięki temu sztuka tętniała życiem, a wcale nie ze względu na rewjowe kawałki, które były może wizualnie bardzo ładne, natomiast Molierowi do szczęścia niepotrzebne.



Gorczyńska w sztuce „Koko" Ascharda

Zespół aktorski spisał się pierwszorzędnie. Reżyserja i dekoracje na poziomie.

„Koko" komedja Ascharda, grana obecnie w Teatrze Małym ma wszystkie cechy francuskiego pióra: jest lekka, w miarę pikantna i doskonale zbudowana. Poza tem ma jeszcze jedną cechę bardzo charakterystyczną już tylko dla Ascharda, stoi bardzo blisko dramatu i widz zapytuje się w duszy, czy za chwilę nie trzeba będzie przestać się śmiać. Ale nie — Aschard zręcznym chwytem ratuje zagmatwaną sytuację, nie schodząc zresztą ani na chwilę ze stanowiska bojownika o prawo rehabilitacji — dziewczynki z kabaretu w Szanghaju. Biedactwo wyszło cnotliwie zamąż, przyczesało gładko włosy, włożyło suknię pod szyję, a tu nagle ktoś rzucił jej dawne imię „Koko" i oto wszystko runęło.

Temat zaiste dramatyczny przeistoczył się w komedję na tle śmiesznej rodzinki mieszczańskiej, do której właśnie weszła „Koko". Oprócz kilku płaskich dowcipków, które sztuce bynajmniej nie dodały wdzięku, komedja jest doskonałą, a wartość jej podnosi jeszcze przekład bez zarzutu J. E. Skiwskiego. No i oczywiście gra artystów, biorących tempo, rozmach.

Rekord bije oczywiście para najważniejsza — Gorczyńska i Leszczyński — reszta im dzielnie sekunduje.

Zofja Miszewska.

Premjera w Teatrze dziecięcym

Panie Marja Dulęba i Ewa Kunina, dążąc do stworzenia racjonalnego teatru dla dzieci — wytknęły pracy swej cel, o którym była mowa na łamach Tygodnika. W wystawieniu ostatniej sztuki Reduty widzimy już realizowanie tych programów: zerwanie z szablonem bajek bez przekreślania fantazji, unikanie efekciarstwa z zachowaniem artystycznego piękna i prostoty.

„Legenda o Piaście" nie jest sztuką we właściwem tego słowa znaczeniu. Nie posiada własnej fabuły, ni głównych bohaterów. Wszystko jest jednakowo ważne jako odzwierciadlenie zamierzchłej przeszłości. W trzech aktach, będących ilustracją i uzupełnieniem historycznej legendy — pokazano szereg epizodów i postaci, mogących utrwalić i uzmysłowić książkowe pojęcia dzieci szkolnych. To zadanie widowiskowe spełnia — z małemi wyjątkami — bez zarzutu. Zapalczywość Popiela, uczciwość Piasta, pacholęctwo Ziemowita, dobroć Rzepichy, słowiańska gościnność i t. d., — wszystko to znalazło swój właściwy wyraz w odpowiednim tekście, grze, dekoracji i strojach.

Pewien nerw dramatyczny części pierwszej (z dobrą sceną wróżby) w dalszych — ustępuje pogodnemu urokowi dawnych obyczajów i wierzeń. Ładnie naogół wypadła personifikacja pogańskich bogiń, bożków i skrzatów na tle nastrojowej muzyki Fr. Maklakiewicza. Dekoracja bardziej „sceniczna" w porównaniu z dawnemi, ukazuje chatę Piasta w pomysłowym skrócie, dostosowanym do warunków lokalnych. Czujność reżyserji z artystyczną prostotą podkreśliła obrzędowość widowiska. Uroczystość postrzyżyn i inne sceny zbiorowe każdym szczegółem zaznaczają kult dla tradycji i wierność legendzie.

Alina Kwiecińska.

WRAŻENIA Z RECITALU

Wieczór 11.III zapisał się jasnem wspomnieniem w pamięci licznych słuchaczy, zgromadzonych w sali Konserwatorjum na recitalu Lucyny Robowskiej. Był to recital specyficzny, powiedzmy propagandowo-informacyjny. Sala wypełniona doborową, elegancką publicznością, przesiąkniętą nastrojem ciepłej życzliwości dla popularnej i ogólnie lubianej pianistki.

Program zapowiadał długi szereg utworów, wyłącznie rodzimej twórczości, utworów, z których wiele — mało znanych, rzadko słyszanych, a może i poraz pierwszy wykonanych na estradzie, słusznie budził zaciekawienie. Poza Chopinem cudowną sonatą H.-moll, op. 58 figurowały kolejno nazwiska: Statkowski, Pankiewicz, Różycki, Cylkow, Biliński, Melcer, Łabuński, Dorabialska, Grzegorzewicz - Lachowska, Szubertowa, Niekrasz-Sternicka, Wojciechowska - Myszyńska, Mikuli, uczeń Chopina, Noskowski, Niewiadomski, Wielhorski, Paderewski, Friemann, Brzeziński, wreszcie kompozycje własne koncertantki. Zaiste, bogata wiązanka!

Wielu z tych kompozytorów odeszło już w zaświaty, ale żywi, co na sali siedzieli musieli „przecierpieć" gorące owacje i oklaski, inspirowane przez działalność samej wykonawczyni i jej własne intencje, wyrażone w słowach: „iż się polskim muzykom słusznie zbiorowy wyraz hołdu należy i że zainteresowana publiczność łaknęła takiego zespolonego z ogniw pojedyńczych, łańcucha polskiej muzyki". To jest konieczne i potrzebne.

Ze specjalnym zapałem oklaskiwano prześliczny mazurek A-moll St. Niewiadomskiego, niezrównanego nawskroś swojskiego pieśniarza. Czemu jednak w tym łańcuchu kompozytorka pominęła Zaremskiego i Michałowskiego?

Cóż mówić o wykonaniu? Było znakomite! Dojrzałe przemyślenie, łączyło się z potęgą tonu, i lwią brawurą. Kunszt techniczny wiązał się z romantyczną poezją—z fortepianu sypały się kaskady pereł i spiżowy majestat akordów. Czar i ogień złączone w jedność płynęły na salę. Dzielna wirtuozka, wielka na estradzie, w życiu skromna, ujmująca w obejściu i zawsze chętna talent swój ofiarować na usługi społeczne, zgotowała obecnym czarowne chwile zapomnienia o chropowatej rzeczywistości, pełnej szmerów niepokoju na rozgorzałym horyzoncie politycznym.

Snopy prześlicznych kwiatów sypnęły się na pracowite, czarodziejskie ręce pani Robowskiej przeistaczając, a publiczność nie chciała się rozstać z bohaterką interesującego wieczoru.

Wanda Mirowska.

KSIĄŻKI DLA MATEK i DLA DZIECI

Wanda Wasilewska: Legenda o Janie z Kolna. Wyd. Nasza Księgarnia s. a. Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warszawa, 1936.

Wśród rozgwarów bitewnych, pod łopotem zielonych sztandarów tureckich, w rozbłyskach krzywych szabel zanurzyła się nagle w topiel bitwy ciemna króla Władysława głowa, zjawiło się wojom ostatni raz i krwią zalało króla Władysława młodzieńcze oblicze, wzniósł się w okrzyku komendy i załamał się nagle i zgasł króla Władysława głos. Było to pod Warną.

Odtąd młody pokojowiec królewski, Jan rodem z Kolna, dopóty błąka się po kraju, spokoju nie zaznając, aż nad morze zawędrowawszy tęsknotę swą bezmierną wód roztoczy powierza. I rozkochał się Jan z Kolna w Morzu. A miłowanie to — jak zwierz luty: niczem go nie zaspokoić, niczem nakarmić. Więc przepływa Jan morza bliskie i dalekie na kutrach rybackich, na okrętach handlowych, na statkach wielorybniczych. Lecz im dalej od wizji śmiertelnych pól Warneńskich ucieka, im dalej od zwycięstw krwawych i krwawych z ludźmi bojów — tem sroższa mu w duszy wzrasta tęsknota za niekrwawym podbojem ziem nieznanych, za walką niekrwawą z miłością swą — Morzem zielonem, Morzem północnem. Więc zaciąga się Jan z Kolna w służbę króla Chrystjana, trzech koron władcy: duńskiej, szwedzkiej i norweskiej. W nieprzebyte stopą ludzką bory idzie do drwali królewskich, pierścień Chrystjanowy niosąc na znak, by na jego rozkaz conajprzedniejsze drzewa w puszczy zrąbali na okręt nowy, okręt jakiego nie było. Miesiące i lata trawi w ciężkim trudzie, z wybranymi towarzyszami okręt swego marzenia budując.

Wypływa wreszcie nawa dumna, strzelista, z wyrytem na dziobie obliczem Władysławowem, na podbój ziem nieodkrytych, ponoć za biegunem — het — istniejących. Obłąkany miłością morza, tęsknotą dali nieznanych, rozpoczął statek „Orzeł" swą bezkreśną wędrówkę w poszukiwaniu ziemi, której niema.

Pełna poezji, pięknym językiem napisana Legenda, zwraca umysły młodzieży ku podbojom niekrwawym, ku tęsknotom nieziszczalnym, ku dążeniom w Nieznane, którym przecie ludzkość wszelki postęp zawdzięcza.

Stefan Baley: Psychologja wieku dojrzewania. Wyd. II. Książnica Atlas 1932.

Autor, znany psycholog polski, powziął zamiar, jak to w przedmowie do wydania I-go zaznacza, napisania „rozdziału czystej psychologji", pozostawiając czytelnikom wyciągnięcie wniosków praktycznych i wskazań wychowawczych. Niejednokrotnie jednak wnioski nasuwają się same w trakcie czytania. Konkluzje te, ukazujące wychowawcom niezbędne korektywy pracy pedagogicznej, przedstawiają dla czytelnika niefachowca najcenniejszą wartość dzieła.

Psychika dorastającej młodzieży, tak trudna i najczęściej źle pojęta lub bagatelizowana przez najtroskliwszych nawet rodziców, wyłożona jest w książce St. Baleya systematycznie i jasno, przytoczony materjał oryginalny w postaci wypowiedzi samej młodzieży ilustruje charakterystyczne cechy wieku dojrzewania.

Książka podzielona jest w sposób następujący: pierwsza część obejmuje charakterystykę dziecięctwa w jego końcowej fazie, druga — właściwy okres dojrzewania; część ta zawiera kolejny opis zjawisk: *fizycznych, płciowych, uczuciowych, umysłowych, moralnych i estetycznych.*

Ponieważ nauka psychologji wieku dojrzewania jest jeszcze w stadjum początkowem, osiągnięcia jej dotyczą form ogólnych, cech charakterystycznych i powszechnych; indywidualne formy dojrzewania i procesy psychiczne wypadków wyjątkowych, które formują w następstwie odmiany typów ludzkich, nie są jeszcze ujęte w naukowe systemy. Autor poświęca więc różnorodnym typom dojrzewania ostatni rozdział swej książki; nosi on charakter już specyficznie naukowy, teoretyczny.

Spis autorów cytowanych w tekście i wykaz rzeczowy tematów zamyka to cenne dzieło.

Zofja Bolesławska.

ZE SREBRNEGO EKRANU

(Chaplin — Mała czarodziejka — Chopin).

Mały człowieczek, w meloniku i wykręconych butach pojawia się na ekranie, nic dziwnego więc, że niezliczone masy jego wielbicieli z takiem zaciekawieniem oczekują każdego jego nowego filmu. Ostatnio widzieliśmy Chaplina przed czterema laty w „Światłach wielkiego miasta", gdzie był — jak zwykle — śmiesznym i wzruszającym włóczęgą, odpowiadającym na wszystkie ciosy, jakiemi go darzył świat — ofiarą swego prostego, współczującego serca. Ale „dzisiejsze czasy" zahartowały widocznie nawet i jego. W filmie p. t. „Dzisiejsze czasy" jest wprawdzie nadal wrażliwy na niedolę ludzką (stara się pomóc biednej sierocie), ale [illegible] ię, jak dawniej, swego szczęścia, przyjmuje dowody sympatji ze strony dziewczyny i odchodząc w świat — tym razem już nie sam— nie budzi żałości, ba! właśnie on jest tym, który dodaje otuchy zniechęconej do życia dziewczynie. W „Dzisiejszych czasach" niema więc tyle pierwiastku uczuciowego, tyle tragikomizmu, co w innych filmach Chaplina. Jest tu tylko satyra i komizm oddramatyzowany. Dzisiejszy zmechanizowany świat został wyśmiany w pokazaniu organizacji nowoczesnej fabryki, gdzie automatyzm ruchów robotników, wyspecjalizowanych w jakimś jednym chwycie, może doprowadzić do obłędu. Wśród ciągłych strajków i bezrobocia, człowiek najwygodniej i najpewniej żyje sobie w... więzieniu, to też nic dziwnego, że nie chce go opuścić, i robi wszystko, ażeby się tam dostać spowrotem. Tak, świat dzisiejszy nie jest mądrze urządzony i istotnie trudno się w nim jakoś zainstalować, zwłaszcza — biedakowi. Pozostaje więc tylko gościniec, prowadzący w nieznane i — beztroskie życie włóczęgi. Rozpoznajemy tu te same akcenty społeczne, co w filmie Réné Clair'a „Niech żyje wolność"!, zarówno w zakończeniu (fabryka), tylko, że u Chaplina jest to powiedziane dostępniej i zrozumialej dla przeciętnego widza. Jaka wymowna jest naprzykład scena mechanicznego karmienia, (ażeby robotnik nie tracił czasu na przerwę obiadową) albo scena, gdy za plecami Charlie wyrasta nagle jakiś tłum ludzi w pochodzie, a on sama znajduje się na jego czele, wymachując, niby sztandarem, przypadkowo znalezioną chorągiewką za co zostaje aresztowany, jako przywódca. Obok tych scen satyrycznych, jest jednakże dużo prostodusznie komicznych w zwykłym amerykańskim stylu (obsuwające się belki, wpadanie do wody i t. p.), i te może wywołują na widowni najżywszy oddźwięk.



Shirley Temple w filmie „Złotowłosy brzdąc".

Chaplin, który sam swoje filmy reżyseruje i pisze do nich scenarjusze i muzykę, może też sobie pozwolić na ścisłe przestrzeganie własnych zasad przy wyborze formy i zupełnie nie krępuje się tem, co obowiązuje innych.

Czy ktoś bowiem odważyłby się dzisiaj zrealizować film niemy? Napewno nie. A Chaplin uparcie trzyma się tej przestarzałej formy, z napisami zamiast djalogów, i nie traci nic ze swej popularności. Swój ironiczny stosunek do dźwiękowca podkreśla tu — tak samo jak to uczynił w „Światłach wielkiego miasta" — śpiewając na dancingu piosenkę, której słowa są tylko dźwiękami bez sensu, a mimo to wywołują zachwyt. Po co więc słowa, tam gdzie wystarczy mimika i gest — zdaje się mówić Chaplin. Istotnie, on sam może się bez nich obejść, dzięki pantomimicznemu charakterowi swej gry, ale już tam, występują inne osoby, niemota ich razi i przy dzisiejszym stanie kinematografji, jest stanowczo — anachronizmem.

Oprócz Chaplina, przysłała nam Ameryka drugie bożyszcze tłumów — małą Shirley Temple (w filmie „Złotowłosy brzdąc"). O Shirley pisaliśmy już na tem miejscu, cóż wiąc można jeszcze dodać do tego, o czem zresztą, wszyscy wiedzą, że dziecko to posiada fenomenalny wdzięk i jest niezwykle utalentowane.

Ale w innych filmach „brała nas" jeszcze prostota, z jaką Shirley wykonywała wszystkie zadania swej roli i mieliśmy wrażenie, że się tem sama bawi. W „Złotowłosym brzdącu", poraz pierwszy, wyczuwamy „tresurę" i podziwiając śpiew, taniec i aktorstwo naszej ulubienicy, zastanawiamy się jednak nad tem z wielu dziecięcych beztroskich godzin została ograbiona, ażeby się tego wszystkiego nauczyć. Sam film tu jest znacznie gorszy od innych z Shirley — zbyt tu już wszyscy są anielscy i szlachetni i życie zbyt gładko się układa. Ale trzeba to traktować tylko jako pretekst do pokazania wszystkich talentów Shirley, będącej tu główną bohaterką rewji humoru, śpiewu i tańca.

Skoro już o muzyce mowa, nie można pominąć milczeniem filmu „Chopin piewca wolności“. Paradoksalne jest to, że zrealizowali go... niemcy, ale choć nie można przyjąć go bez zastrzeżeń, zasługuje jednak na uwagę. Przedewszystkiem ze względu na stosunek twórców do tematu, w którym podkreślają głównie dwa momenty: że Chopin był zjawiskiem w świecie sztuki wyjątkowem i że, jako polak, był gorącym patrjotą. Kulminacyjnym punktem filmu jest pierwszy koncert Chopina w Paryżu, kiedy artysta dowiaduje się, na kilka minut przed występem o wybuchu powstania w Polsce, i wstrząśnięty do głębi tem, że sam w takiej chwili znajduje się zdala od ojczyzny, wypowiada stan swej duszy we wspaniałej improwizacji (etiuda rewolucyjna). Drugim walorem filmu jest muzyka. Utwory Chopina wplecione doń, często z pokazaniem genezy ich powstania (naprz. polonez as-dur), nie są naciągane do okoliczności, ale gładko i logicznie wypływają z sytuacji, zaś użyte, jako ilustracja — z nastroju. Zrobione jest to naprawdę inteligentnie i jest doskonałym sposobem uprzystępnienia masom boskiej sztuki Chopina.

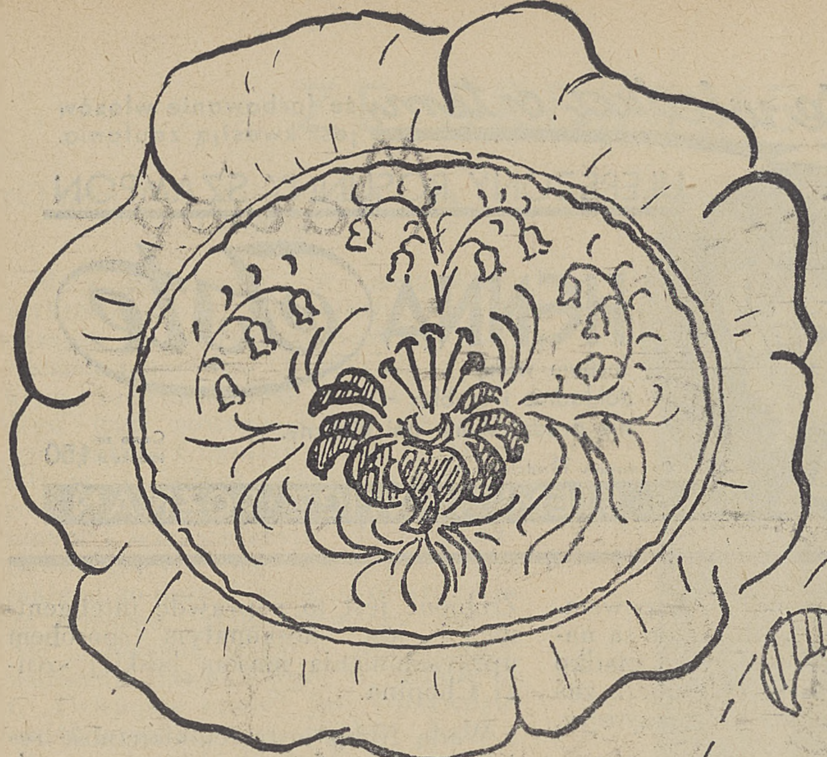
Wadą filmu jest nieumiejętność reżysera i aktorów wczucia się w polskie typy i polską atmosferę, w scenach rozgrywających się w Warszawie unosi się duch niemiecki. W każdym razie „Chopina“ warto zobaczyć i... usłyszeć, chociażby, ażeby się przekonać, jakie rezultaty wydaje zainteresowanie się niemców kulturą polską.

es-ha.

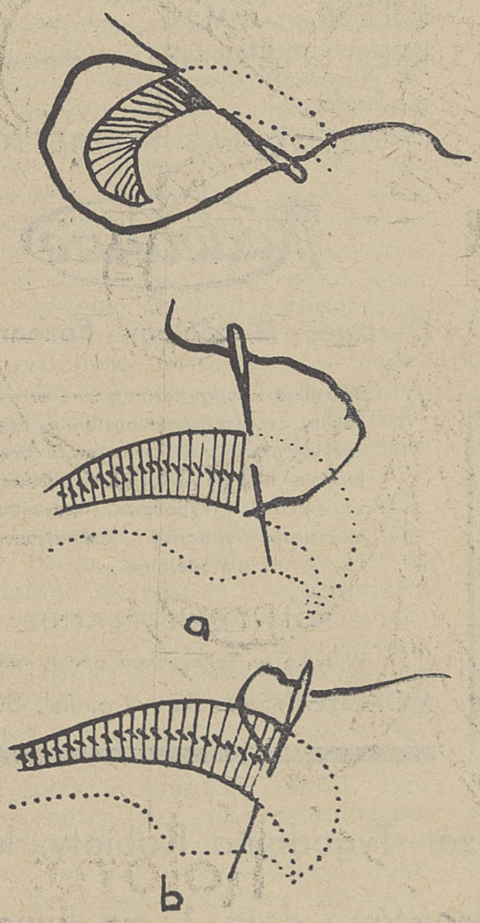


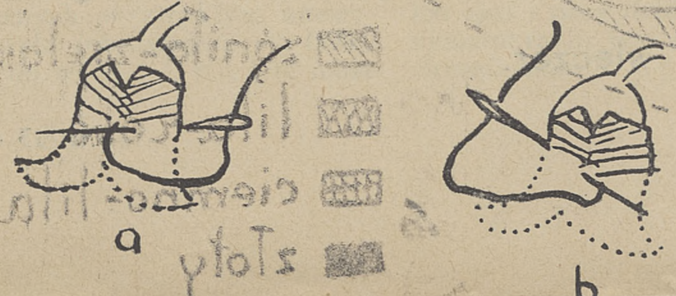
Scena z filmu Charlie Chaplina „Dzisiejsze czasy“.

Zaaraszamy wszystkie Panie Prenumeratorki na wieczór Tygodnika Kobiety, który odbędzie się w Ipsie — Królewska 13 (Ziemiańska Artystów) dnia 1-go kwietnia r. b. we środę. Początek o godzinie 8-ej wieczór.



Poduszka



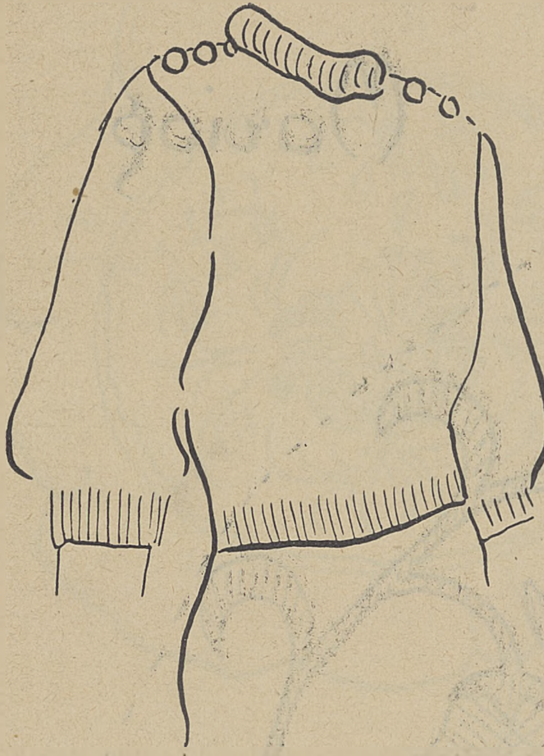


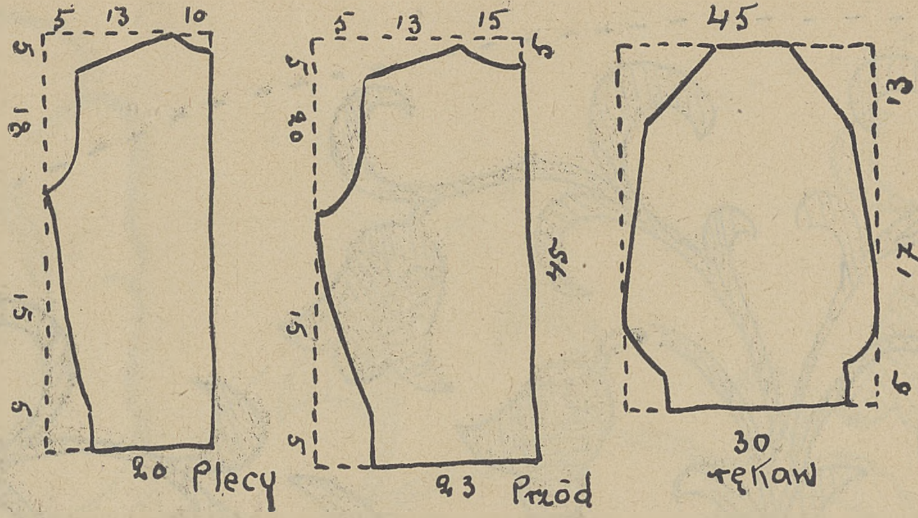


Mariog

Kolory:

- zgniło-zielony
- lila-rose
- ciemno-lila
- złoty





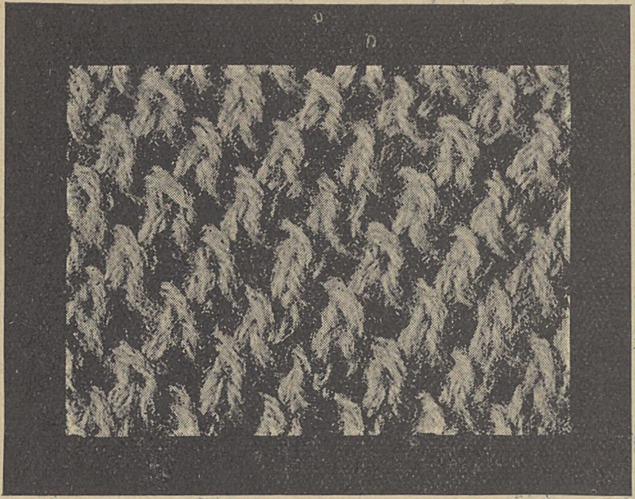
SWETER

Jedwab frottè Markizat „TRÓJKĄT w KOLE"
druty Nr. 3, 6 guzików.

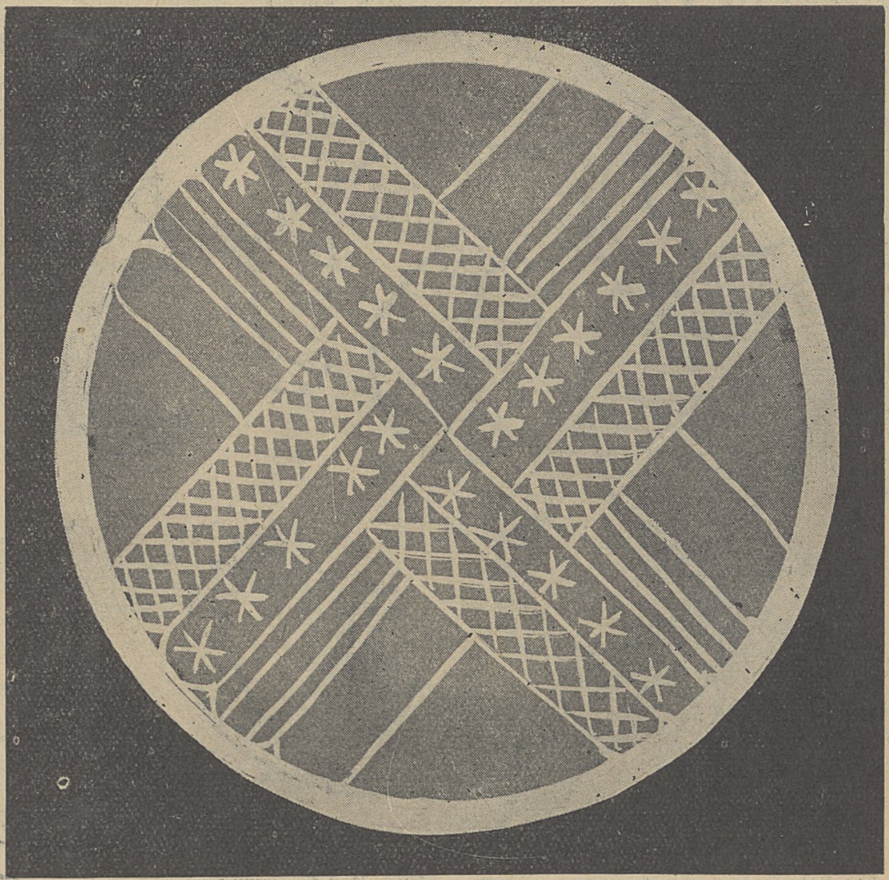
Ścieg: 1) nawinąć nitkę, przerobić dwa oczka razem ×
2) wszystko przerobić na prawo,
3) 1 oczko prawe, × nawinąć nitkę, 2 oczka razem ×
4) wszystko na prawo,
powtarzać od rzędu pierwszego.

Formy wykroić z papieru i stosować do nich robotę swetra. Wszystkie części zacząć od dołu ściągaczką — jedno oczko prawe, jedno lewe.

Po złączeniu części koło szyji nabrać oczka na dwa druty, a trzecim przerabiać tym samym ściegiem co ściągaczkę, raz na prawo, raz na lewo, w ten sposób uzyskamy kołnierz odwinięty.







Serwetka pod filiżanki lub kieliszki wyszywana na tiulu

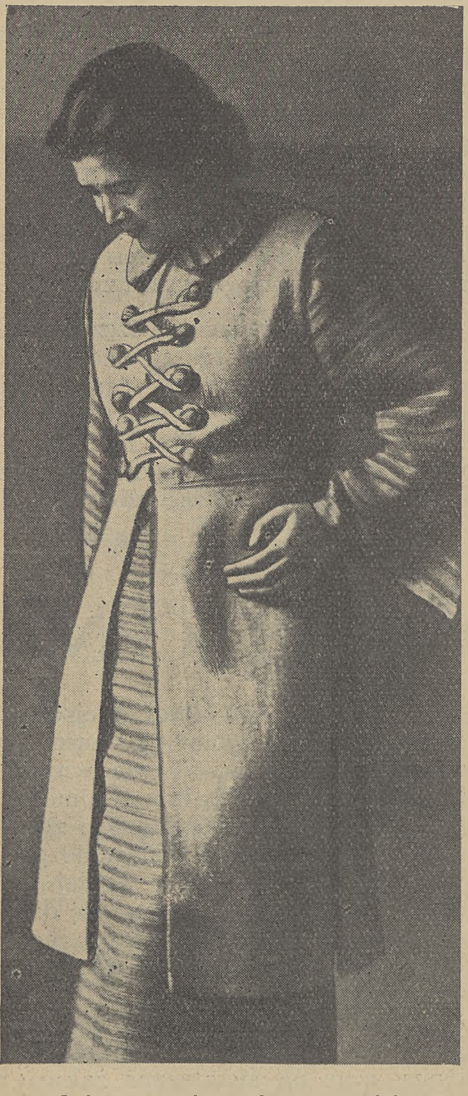
LEN WILEŃSKI I „INICJATYWA"

Pokaz modeli dla grona wtajemniczonych w szczupłym, lecz niezwykle estetycznym lokalu placówki samodziałów ludowych.

„Len Wileński" dał materjały, malarki projekty, a Spółdzielnia Absolwentek Szkół Rękodzielniczych „Inicjatywa" — wykonanie.

Jedna z organizatorek (świecąca dobrym przykładem własnego samodziałowego kompletu) tłómaczy zgromadzonym że pokaz ma być próbą harmonijnej współpracy trzech zasadniczych elementów tworzących dobre rzemiosło: materjału, projektu, techniki.

Opowiada (nie bez żalu) że najoporniejszą na wdzięk tkanin samodziałowych pozostała u nas moda. Nasza, lokalna moda. Anglja oddawna udoskonaliła kulturę tkactwa samodziałowego (przynajmniej w zakresie wełen). Angielskie homespun'y są znane i poszukiwane na całym świecie, a ich przewaga nad wyrobami fabrycznemi jest powszechnie uznawana. W ostatnich latach Paryż — skąd idą nakazy mody — lansuje tkaniny, możliwie wiernie naśladujące samodziały najprymitywniejsze.



Jeden z wielu pięknych modeli.

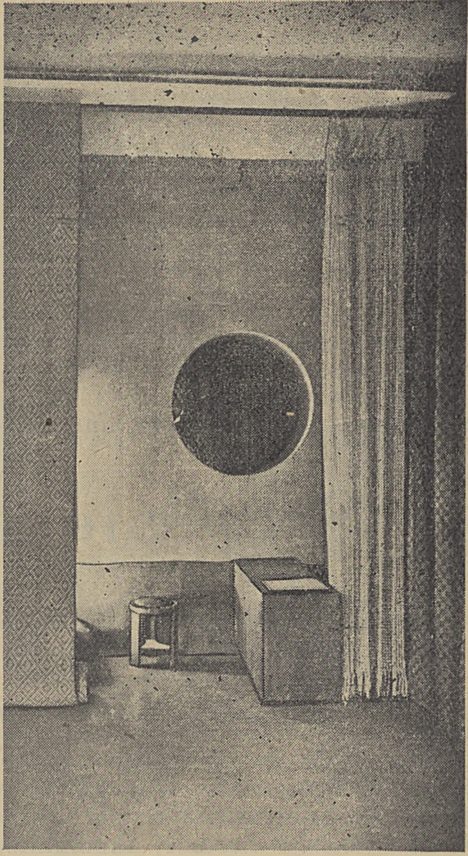
— My, choć posiadamy wszelkie niemal odmiany takich właśnie samodziałów i nie potrzebujemy ich sztucznie i kosztownie odtwarzać, patrzymy na nie okiem przywykłem do fabrycznej produkcji, nie widząc tego co w nich jest pięknego i prawdziwego, a tylko to co jest niedogodnością — inną szerokość niż materjałów fabrycznych, i t. d... —

Tak mówiła z zapałem miła pani. Inne (również miłe, podobnie w samodziały ubrane) przynosiły dowody rzeczowe — sztuki tkanin samodziałowych lnianych i wełnianych. Gdy tak szły utrzymując, nie bez wysiłku, ciężkie, barwne zwoje na wyprostowanych ramionach tworzyły grupę niezmiernie malowniczą, zdającą się zapowiadać jakiś zbiorowy taniec z szalami. Poważnie i rzeczowo, ale z mocnem przekonaniem, zachwalały materjały, z których każdy jest inny co jest szczególnie ważkie i cenne dziś, gdy dobrze ubrana kobieta pragnie mieć coś czego nie posiada nikt inny, coś zupełnie osobistego w swoim kolorze.

Zwracały uwagę na barwione samodziały lniane, o barwikach wypróbowanych odpornych na działanie wody i światła. Zaznaczały wysoki poziom kultury tkackiej na Wileńszczyźnie, niezliczoną ilość splotów i kombinacji ornamentacyjnych. Do odziedziczonego zasobu wiadomości, tkaczka wileńska dodaje osobiste swe doświadczenia i pomysłowość.

Odmienny typ od płócien wileńskich stanowią tkaniny poleskie. Tu rzemiosło jest technicznie mniej udoskonalone niż w okolicach Wilna, Nowogródka i Białegostoku, gdzie bywają warsztaty na dwanaście i szesnaście nicielnic, na których przez odpowiednie nawleczenie osnowy dają się osiągnąć wzory przeróżne — prążki i paseczki wzdłuż tkanin. Czteronicielnicowe warsztaty poleskie mają mniej możliwości. Tu cała inwencja tkaczki idzie w kierunku barwy i przerzucania wątka.

Za to Polesie dostarcza rzadkich szarych płócien z bogato wytkanemi, kolorowemi szlakami o charakterze wyraźnie etnograficznym poleskim. Z tych tkanin szyje się najprostsze koszulkowe sukienki dziecinne i bluzki damskie. Malarki wychodzą ze słusznego założenia, że tych szlakowych tkanin nie należy zbyt gwałtownie naginać do wymagań mody. Kroić w nich można tylko po prostej nitce, tak jak są krojone chłopskie koszule. Szlak znajduje się wtedy w miejscu z góry przewidzianem — nic się nie wykrawa i nie marnuje.



Dekoracje wnętrza tkaninami lnianemi.

Na początku właściwego pokazu zademonstrowano kilka takich typów kroju (między innemi i zręczny fartuszek do gospodarstwa) wypracowanych w Siedlcach.

Modele wykonane w spółdzielni „Inicjatywa" były projektowane przez artystki - malarki: pp. Karpińską Kintupfową Łomnicką - Bajakową i Obrębską-Stieber.

Do najładniejszych i najłatwiejszych w zastosowaniu należą—tenisowa sukienka z białego płótna zdobiona śliczną plecionką — gipiurą z konopnego sznurka. Nieomal równie ładny był komplet spacerowy składający się z równej sukienki z płótna poleskiego w czarnobiałe, poprzeczne paski z ponsową szlarką i karczkiem, ponsowego kabacika i kapelusza.

Uroczy był kostjum plażowy—szafirowe, nader zręcznie pomyślone short'y i luźny płaszcz-kinomo barwy pompejańskiej. „ ,

Miałam ochotę trochę pokłócić z autorkami modeli niepotrzebnie poszerzonych w ramionach, o przesadnie wydętych bufach rękawów, i kołnierzach podchodzących zbyt wysoko pod szyję podpierających niemal brodę watowanemi wałeczkami, albo sterczącą frendzlą. Naturalna sztywność płótna predestynuje je do krojów najprostszych, odtwarzających możliwie wiernie linje ciała. Nadmiar sterczących komplikacji odbiera tkaninie jej szlachetną prostotę a sylwetce upragnioną smukłość.

Zastanowił mnie zupełny brak ozdób w postaci haftów regjonalnych, stanowiących wymarzone dopełnienie samodziałów lnianych.

— Torby, kapelusze, nawet guziki były również projektowane przez malarki i wykonane w Spółdzielni—jak informowały uprzejme organizatorki przytaczające również ceny każdego modelu — zaczynające przez cenv przystępność.

— Celem naszym jest pokazanie Warszawie pierwszorzędnych modeli z polskiego surowca, w Polsce rysowanych i wykonanych. „Len Wileński" ma pozatem swój specjalny cel— pragnie, żeby w gorączkowej pracy jaka wiosną wre w stołecznych pracowniach mogły wziąć udział wiejskie tkaczki z województw kresowych. Czy jesteśmy na drodze do urzeczywistnienia naszych zamiarów — zechcecie państwo osądzić sami.

Tak zakończyła swe przemówienie pani w pięknych samodziałach.

— Sądzimy, że cel powinien zostać osiągnięty. Myśl jest szlachetna — wykonanie rzetelne.

Szczęść Boże Inicjatywie Samodziałów.

Well.

Szczepienia ochronne przeciwko chorobom zakaźnym

W jednym z artykułów poprzednich omawiałyśmy sposoby uchronienia dzieci przed chorobami infekcyjnemi. Sposoby te możnaby nazwać sposobami domowemi. Nie lekceważąc ich wartości uciekamy się niekiedy do sposobów bardziej skomplikowanych, temi jednak rozporządza tylko lekarz; są to szczepienia ochronne.

Wszystkim dobrze znane jest szczepienie ochronne przeciwko ospie, które u nas jest przymusowe. Wiadomo także, że ospa jako choroba nagminna przestała się szerzyć od czasu wprowadzenia przymusowych szczepień. Szczepienie chroni więc przed chorobą; wywołuje ono chorobę, jakby w miniaturze, i po przebyciu tej choroby organizm jest zabezpieczony na czas dłuższy (jeśli chodzi o ospę — na okres około 7 lat).

Przy szczepieniu wprowadzamy do organizmu bądź zarazki, bądź też jady wydzielane przez te zarazki. Są to te same zarazki, które wywołują chorobę. Są one jednak znacznie osłabione, czy to zapomocą środków chemicznych, termicznych lub też drogą przeszczepiań na różne pożywki osłabiające siłę tych zarazków. Gdybyśmy zaszczepili zarazki, mające dużą zjadliwość moglibyśmy narazić dziecko na niebezpieczeństwo choroby. Szczepiąc jednak osłabionym szczepem zarazków wywołuje tylko słabe objawy chorobowe, wystarczające jednak dla wywołania odporności. Uzyskanie odporności jest właśnie celem szczepienia.

Na czem polega zjawisko wywoływania odporności? Otóż wiemy, że organizm ludzki, stykając się z zarazkiem, wchodzi z nim w bardzo bliski kontakt biologiczny, i wynikiem tego kontaktu jest wytworzenie się w organizmie pewnych ciał, t. zw. przeciwciał, które są wrogo usposobione do zarazków i przy następnem zetknięciu się z temi samemi zarazkami potrafią z niemi zwycięsko walczyć. Taki sam kontakt z zarazkiem i wytwarzanie przeciwciał zachodzi i w przypadku choroby infekcyjnej — wtedy jednak zjadliwość zarazków i ich ilość może być tak duża, że istniejące przeciwciała nie zdołają unieszkodliwić zarazków. Zwycięzcami zostaną te ostatnie. Przeciwnie w przypadku wyzdrowienia pozostają przeciwciała w organizmie ludzkim na zawsze. Mówimy wtedy, że organizm zdobył odporność. Otóż taką samą odporność zdobywa organizm po szczepieniu, dzieje się to jednak znacznie łagodniej, znacznie mniej sił zużywa organizm na zdobycie odporności po szczepieniu, niż to ma miejsce przy chorobie, ponieważ wprowadzone zarazki nie są tak zjadliwe. Odporność poszczepienna, aczkolwiek nie tak wybitna i długotrwała jak po chorobie, starczy jednak na dłuższy okres, lub conajmniej spowoduje łagodny przebieg choroby wrazie zakażenia.

Istnieją zarazki, przeciwko którym organizm ludzki nie zdobywa odporności np. paciorkowce. Są to bakterje, które wywołują różę, różne sprawy ropne i t. d. Człowiek może przebyć jakąś sprawę ropną np. zastrzał i w późniejszem życiu zachorować na różę. Istnieją jednak choroby, na które choruje się tylko raz w życiu. Do takich chorób należy tyfus brzuszny, szkarlatyna, odra, dyfteryt.

Nas obchodzą tu przedewszystkiem ciężkie choroby wieku dziecięcego jak szkarlatyna i dyfteryt. Przeciwko nim stosujemy szczepienia ochronne. Naogół szczepić można wszystkie dzieci zdrowe. Nie należy szczepić dzieci gruźliczych, lub po przebyciu jakichś wyniszczających długich chorób. W każdym przypadku decyzja należy do lekarza. Szczepienia te są zupełnie nieszkodliwe, wywołują nieznaczne podniesienie ciepłoty, nie wymagają leżenia w łóżku. Szczepi się zapomocą zastrzyków podskórnych, które dzieci znoszą doskonale. Należy szczepić dzieci w wieku przedszkolnym, ponieważ doświadczenie uczy, że najwięcej chorują dzieci w wieku szkolnym, co jest zresztą zupełnie zrozumiałe, ponieważ stykają się wtedy z dużą ilością dzieci i łatwiej jest o zarażenie. Maleńkim dzieciom nie należy szczepić, ponieważ mniej są narażone na zakażenie.

U nas szczepienia ochronne przeciw dyfterytowi i szkarlatynie są w miastach bardzo rozpowszechnione, szczepi się dzieci w szkołach powszechnych. Przymusu szczepienia niema, jednak matki nie uchylają się od niego i często same w tym celu zgłaszają się do lekarza. Najodpowiedniejszą porą szczepienia jest wiosna, wtedy najlepsza jest zdrowotność dzieci.

Nie można twierdzić, że szczepienia te dają stuprocentową pewność, że dziecko się nie zarazi. Statystyki jednak wykazują, że dzieci szczepione chorują bardzo rzadko, i że choroba ich ma przebieg łagodny, co też uważać należy za wielką zdobycz.

Dr. F. K.

ZAKUPY PRZEDŚWIĄTECZNE

Dawniej, — dawniej nazywam, czasy przedwojenne, stosunki handlowe były tak uregulowane, że zgóry wiedzieliśmy kiedy i z jakich przyczyn pewne produkty tanieją lub drożeją i według tych zgóry przewidzianych „hausse" lub „baisse", dobra gospodyni mogła sobie układać plan większych zakupów. Dzisiaj nic nie wiadomo. Brak towaru i towar ten szalenie idzie w górę. Nawiozą go a nie ma nań zbytu, tanieje nieprawdopodobnie, tanieje tak, że się zaczyna współczuć nieszczęsnemu producentowi, któremu produkcja się nie opłaci. Ma to szczególniej miejsce w handlu drobiem. Ubiegłej zimy (bo przecież podobno mamy już wiosnę) mieliśmy tego przykłady: gęsi można było kupować po cenie jednego złotego za kilo i indyki po 1 złoty 40 groszy, czyli jedne i drugie taniej od zwykłej wołowiny. Toż samo się dzieje z masłem i jajami, których ceny skaczą z dnia na dzień bez widocznej przyczyny.

Szeregi gospodyń pytają czy już czas, a raczej kiedy będzie najwłaściwszy czas na świąteczne zakupy?

Zakupy te, oczywiście nie będą

te co dawniej, jednak pomimo nawoływań higjenistów i zawsze w awangardzie kroczącego Związku Pan Domu tradycja „urządzania Świąt Wielkanocnych“ czyli zastawianie stołu „Święconem“, jest jedną z najbardziej polskich, najgłębiej zakorzenionych i szczerze mówiąc, najsympatyczniejszych tradycji.

Nasze baby już nie pożerają całych kop jaj, nasze mazurki stają się coraz skromniejsze, nie liczymy na dziesiątki półmisków z drobiem, wędlinami i pasztetami, — ale każda dobra pani domu i zapobiegliwa gospodyni potrafi nadać tym skromniejszym i mniej licznym daniom wykwintny smak i przy zastawie świątecznej uwzględnić gust pana małżonka, dzieci i reszty domowników.

Tylko konieczność oszczędzania zmusza do obliczenia wszelkich możliwości i zastosowania nadzwyczajnych, świątecznych wydatków do coraz to bardziej okrajanego budżetu.

Więc pozostaje kwestja, — kiedy kupować aby taniej kupić?

Jedna zasada, której nikt nie obali, której nikt nawet nie zaprzeczy.

Kupować natychmiast po pierwszym, aby pieniądze zarobione czy to przez męża, czy przez żonę, czy solidarnie (coraz niestety rzadziej) przez oboje małżonków się nie rozeszły.

Bo co do cen, to nikt ze zwykłych śmiertelników nie potrafi przepowiedzieć czy w ostatnich dniach Wielkiego tygodnia będą one wyższe. czy też jeszcze spadną. Chyba pójść do jakiej modnej wróżki?

Zdaje mi się (niestety posiadam tylko katolicki kalendarz), że na tydzień przed naszą Wielkanocą wypada „pascha“ żydowska. W takim razie — grozi nam pewna zwyżka cen jaj i drobiu, gdyż żydzi są nietylko. masowymi konsumentami tych najpotrzebniejszych do święconego artykułów, lecz do pewnego stopnia regulatorami cen na nie, a pascha rozpoczęta w kwietną Niedzielę zajmie kilka dni Wielkiego tygodnia.

Nietylko więc w cenach mięs rzeźnych, powodowanych ubojem rytualnym, jesteśmy zależni od „mniejszości“ narodowej. A propos uboju rytualnego. Już, już się zdawało, że dzięki odwadze dzielnej kobiety, posłanki na Sejm, Janiny Prystorowej, zniknie to ponure wspomnienie średniowiecza i narówni z innymi cywilizowanymi narodami nie pozwolimy się znęcać nad naszymi młodszymi braćmi, (tak je pięknie nazwał Aksel Munte) zwierzętami.

Tymczasem coś się tam zatkało.

Aż trzech ministrów i jeden viceminister, na jednem posiedzeniu zabierało głos w tej palącej sprawie. I tyle zaprowadzono zmian w prostym zakazie rytualnego uboju, tyle wprowadzono wyjątków, tyle pozostawiono furtek ułatwiających obchodzenie nowego prawa, że bodajże wszystko pozostanie postaremu. Waracając do sprawy zakupów, co możemy zakupić wcześniej?

Przedewszystkiem poważną część wydatków świątecznych stanowią słodycze: bakalje, orzechy, mak, miód i cukier. Następnie mąkę, która w naszym handlu często nie bywa sucha i której przesuszenie nawet pomoże. Następnie jaja, chociaż się mówi o jajkach codziennie stemplowanych, pozostawimy te (czy aby sumiennie) stemplowane do picia na surowo, świeże jaja trzymane w chłodnem a suchem miejscu, (nie w piwnicy i nie w lodowni, gdyż wilgoć im wybitnie szkodzi), nie postarzeją ani smaku nie zmienią. Są już obecnie tak tanie, że trudno przypuszczać aby jeszcze staniały. Następnie szynkę. Szynka czy to saletrowana, czy marynowana, w ciągu dni dziesięciu nietylko się nie zepsuje, lecz stanie się smaczniejsza. Szynek mocno wędzonych, przeznaczonych do jedzenia na surowo nigdy gotować nie należy. Cielęcina zasaletrowana jak szynka, czy to ugotowana, czy, po dobrem wymoczeniu naszpikowana słoniną i upieczona jest wyborna. Nakoniec na Inflantach Polskich doskonale konserwowano świeżą cielęcinę, nalewając ją obficie wodą przegotowaną z solą, pieprzem i listkiem. Cielęcina do paru tygodni nie zmieniała smaku i pieczona pozostawała biała, nawet stała się bardziej kruchą.

Zwierzyny żadnej, oprócz rzadko spotykanych głuszców i samców cietrzewi, nie mamy. jest na nią czas ochronny. Możemy jednak zrobić namiastkę sarniny, marynując w lekkim occie z korzeniami, ćwiartkę młodej baraniny.

Najgorzej jest z drobiem. Jednak jeżeli i nadal będą trwały przymrozki nocne indor lub pularda lekko zawinięte w papier, aby powietrze do nich dochodziło i powieszone na niesłonecznym balkonie, lub za również niesłonecznem oknem, przez dni dziesięć nietylko nie zepsują się lecz nawet skruszeją.

Jest to mój ostatni przed Wielkanocą przegląd rynków stołecznych, nadałam mu inną niż zwykle formę, dodam tylko kilka wiadomości uzupełniających.



Zupełnie znikły z handlu drobne, hiszpańskie pomarańcze. Miejsce ich zajęły palestyńskie, znane pod nazwą Jaffskich, od portu w którym je ładują. Smaczne, bardzo soczyste, mają jednak tę wadę. że są ogromne a zatem niepodzielne. Mają pozatem bardzo grubą skórę, którą zresztą można usmażyć. Takie smażone skórki bardzo się nam przydadzą przy pieczywie ciast wielkanocnych.

Poza pomarańczami mamy na rynku dużo jabłek. Najlepsze, najsmaczniejsze, lecz niestety i najdroższe są jabłka krajowe. Te różne gatunki renet, doskonale zakonserwowane, są najlepszym dowodem, że gdybyśmy się nauczyli lepiej przechowywać jabłka, umielibyśmy się doskonale obejść bez amerykańskich.

Z nowalijek mamy już rzodkiewkę. sałatę listkową i zielony koperek, są nawet obecnie niezbyt drogie, czy przed świętami nie podrożeją, nie potrafię przepowiedzieć.

Pani Elżbieta.

CODZIENNE POGOTOWIE

W życiu codziennem otaczają nas większe i mniejsze przykrości wśród. których lawirować trzeba, jak wśród niebezpiecznych raf. One bowiem utrudniają często spełnianie obowiązków, wyprowadzają z równowagi i denerwują. A cała umiejętność zorganizowania życia polega na tem, żeby świadomie oszczędzić sobie drobnych przykrości.

Do ich serji zaliczyć można niewątpliwie różne braki w garderobie. Ale, jeżeli są takie, którym zapobiec nie można (z powodów materjalnych, oczywiście), to napewno są takie, których usunięcie zależy wyłącznie od nas samych.

Weźmy dla przykładu poranne, pośpieszne ubieranie się do pracy. Tu coś odpruło się, rozdarło, w pończosze dziura, rękawiczka pękła i t. p. historje. Wszystko to złości i denerwuje. Bo czasu jest akurat tyle, ile potrzeba na ubranie się. O możliwości naprawienia czegoś nie ma mowy w tej chwili. Więc albo trzeba kłaść coś co

jest nie w porządku albo brać inną sztukę garderoby. Niestety, nie zawsze jest to możliwe.

A tymczasem możnaby oszczędzić sobie niejednego takiego zdenerwowania, gdyby się swoją garderobę i drobiazgi do niej należące oglądało od czasu do czasu. Taki uważny przegląd zapobiegłby nietylko większym uszkodzeniom ale również oszczędziłby zdenerwowania i nieprzyjemnego stempla niedbałości, nie należącego bynajmniej do tych najpochlebniejszych.

Np. zlekka nadpruty obręb u sukni, czy palta musi być zaraz przyszyty, bo w przeciwnym razie oberwie się i bedzie wysiawał nazewnątrz. To samo dzieje się, jeżeli podszycie wykonane jest zapomocą tasiemki.

Haftki przy paskach, rękawach i t. p. obluzowane nietylko nie trzymają zapięcia ale obrywają się i giną. To samo dzieje się z zatrzaskami. Guziki w serji „zapinań" stanowią bardzo poważny czynnik. Każdy obluzowany należy odrazu przyszywać. Może oberwać się na ulicy a jeżeli nie posiada się zapasowego, ten brak pociągnie za sobą nowy i niepotrzebny, chociaż może mały wydatek.

W noszeniu rozpruwają się szwy w spódnicach, w rękawach, w stanikach. Przez szpary prześwituje spodnie ubranie. Bardzo to nieestetyczne i krępujące zarazem. I nietylko drogą starannej naprawy ale i częstych oględzin uda się tym brakom zapobiec.

Ważne są również takie potrzebne, a jakgdyby nikłe drobiazgi, jak rygielki i pętelki. Jeżeli przerwany rygielek nie odrazu się naprawi, zaczepia się haftkę siłą rzeczy o materiał. Stąd oczywiście brzydka dziura. Przerwana pętelka natomiast zwisa w sposób żałosny, a guzika niema na co zapiąć.

Rozporki w spódnicach i sukniach rozpruwają się, ujmuje się przy nich materjał i mogą tak pruć się do nieskończoności, nie naprawione w porę.

Możnaby mnożyć dalej te drobne uszkodzenia, dające powód do wielu przykrości, a w następstwie i do zdenerwowania.

Dodać należy jeszcze dwie ważne rzeczy. To potniki, które trzeba bezwarunkowo przyszywać do każdej sukni, czy bluzki, o ile ktoś ma skłonność do pocenia się. Wystarczy jednorazowe przepocenie materjału, a żaden sposób prania, czy czyszczenia nie przywróci już utraconej barwy materjału.

Druga sprawa, to umiejętne przyszywanie kołnierzyków i mankietów, które, tak często widzi się przymocowane krzywo. Chcąc tę pracę wykonać równo, trzeba kołnierzyk złożyć na połowę i tak samo odmierzyć wycięcie szyi i dopiero podszywać równemi, niedostrzegalnemi ściegami. Tak samo postępować z mankietami. Napewno krzywizny nie będzie.

Igła.

HIGJENA SNU

Higjena snu to pojęcie złożone z szeregu nakazów, których pomijać nie wolno. W skład tych nakazów wchodzą przedewszystkiem: racjonalne, higjeniczne utrzymanie łóżka i pościeli; odpowiednia temperatura i świeżość powietrza w pokoju sypialnym; wieczorna tualeta, której nie należy zaniedbywać nawet w chwilach wielkiego zmęczenia.

Racjonalne utrzymanie pościeli to przedewszystkiem jej czystość i codzienne wietrzenie. Nie wolno zaścielać łóżka natychmiast po wstaniu z pościeli, kiedy jest rozgrzana kontaktem z ciałem ludzkiem.

Po wstaniu z łóżka trzeba odkryć kołdrę i pozostawić tak łóżko przy otwartem oknie conajmniej na pół godziny, rozrzucając swobodnie pościel, aby powietrze miało do niej wszechstronny dostęp.

Jeszcze lepiej będzie ułożyć pościel w otwartem oknie.

Osoba zaścielająca łóżko powinna być czysto ubrana i musi umyć ręce bezpośrednio przed zetknięciem z pościelą. Przejście wprost od zajęć kuchennych, albo sprzątania do słania łóżek, bez umycia rąk i nałożenia czystego fartucha nie powinno być praktykowane.

Solidne wietrzenie pościeli stosujemy conajmniej raz na tydzień, chroniąc ją przed zetknięciem z brudnemi balustradami balkonów, lub zanieczyszczonemi parapetami okiennemi. Najwłaściwszym sposobem wietrzenia będzie zawieszenie pościeli na dworze tak, aby powietrze miało do niej wszechtronny dostęp, ale sposób ten łatwy do zastosowania na wsi, w mieście przedstawia nieraz poważne trudności.

Przy słaniu łóżek należy codziennie obracać materac na drugą stronę, poduszki wybijać rękami, aby im nadać puszystość przez poruszanie pierza.

Pościel przetrzymywana w tapczanach powinna być jaknajstaranniej osłonięta ze wszystkich stron, aby się nie smoliła i nie kurzyła. Wywietrzenie jej, danie jej oddechu przed schowaniem do skrytki jest nieodzowne.

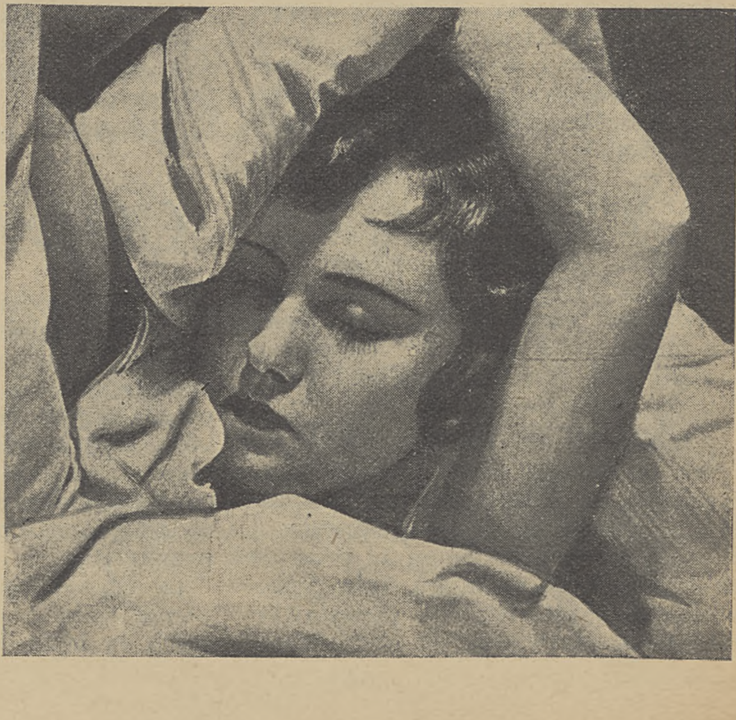
A teraz przejdźmy do „warunków" sypialni.

W pokoju sypialnym nie powinna nigdy panować zbyt wysoka temperatura. Nie należy w nim trzymać nadmiaru roślin doniczkowych, ani też bukietów układanych z kwiatów aromatycznych. Jak najmniej tkanin wchłaniających kurz i utrudniających dopływ powietrza: możliwie najwięcej słońca i światła w ciągu dnia i nieodzowne solidne wietrzenie zarówno w rannych godzinach sprzątania, jak i w czasie słania łóżek i po ich posłaniu przed samym snem.

W sypialni nie piwinno się palić papierosów, ani też przesycać jej silnemi aromatami perfum i kosmetyków, no i nie wprowadzać w ścianach sypialni chaosu i nieładu wynikającego z niedbałego rozrzucania garderoby przy rozbieraniu. Wrażenia wzrokowe, zarówno w chwili zasypiania, jak i przebudzenia powinny być estetyczne, miłe dla oka.

Wieczorna tualeta to nietylko zabiegi związane z walką ze zmarszczkami", dbałością o gładkość cery i rąk. Pierwszym, podstawowym zabiegiem powinno być obmycie całego ciała, staranne wyczyszczenie jamy ustnej, kilkominutowe szczotkowanie włosów. Wszelkie „namaszczania", masaże kosmetyczne i t. p. cenne i wskazane nie zastąpią jednak nigdy podstawowej czystości.

Cennem przyzwyczajeniem jest sypianie przy otwartem oknie w sezonach ciepłych, a lekko uchylonem w chłodniejszych. Kto się obawia bezpośredniego dopływu chłodnego powietrza może zastosować środek ostrożności w frmie osłonięcia łóżka, czy tapczana parawanikiem. Taka izolacja złagodzi bezpośredni dopływ fal chłodnego powietrza do rozgrzanego snem ciała, pozwalając płucom wdychać w czasie długich godzin snu świeże, odżywcze powietrze. *Joanna.*



Dobre rady

Klej do porcelany. Porcelanę można kleić solidnie i niewidocznie, przyrządzając następujący klej prostym domowym sposobem:

Zmieszać mączkę ryżową z zimną wodą, dając jej tyle, aby wytworzyła wolne ciasto. Dodać wrzącej wody, mieszając bezustannie aż do chwili wytworzenia gęstej papki. Gotować dziesięć minut na wolnym ogniu, mieszając. Tak przygotowany klej odznacza się wybitną chwytliwowością, zespala doskonale stłuczoną porcelanę, a co najważniejsze przyjmuje łatwo i trwale farbę, ułatwiając podmalowanie klejonych przedmiotów.

Złocone ramy czyści się soczystą cebulą. Cebulę trzeba przekroić i natrzeć powierzchnię złoconej ramy. Po wyschnięciu zmyć delikatną gąbką zmaczaną w letniej wodzie (najlepiej w wodzie deszczowej). wytrzeć delikatnie miękką, płócienną ściereczką.

Ogrzewacz bez ognia. Chcąc przygotować napoczekaniu gorący kompres, albo ogrzewacz do rozgrzania pościeli, nie dysponując ani gorącą wodą, ani też tak bardzo dzisiaj popularnym ogrzewaczem elektrycznym, trzeba włożyć do blaszanego pudełka o doskonale dopasowanym wierzchu, kawałek wapna niegaszonego, umaczanego w zimnej wodzie. Po krótkiej chwili blacha rozgrzeje się tak silnie, że trudno ją będzie chwycić gołą ręką.

Żelazka do prasowania muszą być nienagannie czyste, dlatego też nie należy ich przechowywać nieosłoniętych. Każde żelazko powinno być okryte flanelowym woreczkiem, który nietylko chroni je przed zanieczyszczeniem, ale i nie dopuści do rdzewienia. Jeżeli w mieszkaniu jest wilgoć trzeba nasycić delikatnie flanelę oliwą.

Doskonałym sposobem czyszczenia żelazek jest przecieranie ich bardzo miałką solą, która z łatwością usuwa również i naloty rdzy. Dla „wyślizgania" spodu żelazka, szczególnie przed prasowaniem sztywnej, męskiej bielizny trzeba przetrzeć spodnią ściankę kawałkiem wosku, albo mydła zawiniętego w płócienny gałganek. *Praktyczna.*

Jadłospis tygodniowy

NIEDZIELA.

Rosół z kury w filiżankach — paluszki z kartofli.
Potrawa z kury — sos cytrynowy — ryż na sypko.
Marchewka z groszkiem.
Ciastka kruche z morelami.

PONIEDZIAŁEK.

Barszcz burakowy zabielany — kartofle.
Cynadry wołowe — kasza gryczana na sypko.
Sałatka z jarzyn.
Kompot z suszonych owoców.

WTOREK.

Zupa cebulowa — grzanki z chleba.
Zraziki po nelsońsku.
Sałata z kapusty kiszonej.
Strudel z jabłkami.

ŚRODA.

Zupa neapolitańska z makaronem włoskim.
Kotlety ze śledzi — purée z kartofli — sos ostry kaparowy.
Selery au gratin.
Suflet pomarańczowy.

CZWARTEK.

Zupa pomidorowa czysta z ryżem.
Pieczeń duszona — buraczki — kartofle.
Szarlotka w kruchem cieście.

PIĄTEK.

Zupa jarzynowa na buljonie.
Dorsz w sosie chrzanowym — kartofle przysmażane.
Kapusta włoska kraszona masłem z bułeczką.
Kompot z żórawin.

SOBOTA.

Zupa cytrynowa z ryżem.
Sznycle cielęce — kluseczki kładzione ze słoniną.
Sałatka z włoskiej kapusty z jabłkami.
Pączki parzone (ptysie) z sokiem.

Przepisy kulinarne

SZYNKA CIELĘCA. Zadnią ćwiartkę cielęciny tłustą i białą z tuczonej sztuki, natrzeć mieszaniną z 20 dk soli, 1/2 deka saletry, kilku pokruszonych listków bobkowych i 2 dk kolendru wcierać sól z dodatkami w mięso dopóki nie zwilgotnieje. Posypać resztą soli dno dużej miski kamiennej, albo drewnianej faseczki, ułożyć szynkę, przykryć denkiem drewnianem, przycisnąć kamieniem. Trzymać mięso w temperturze nie wyższej jak 8 st. Przewracać codziennie rano i wieczorem, aby się równo marynowało. Po upływie 10 dni — do dwóch tygodni, wyjąć z sosu, oszyścić z korzeni, obsuszyć. Gotować, lub piec oklejoną ciastem przyrządzonem z mąki razowej i wody. Studzić w sosie, albo w cieście, które trzeba zdjąć gdy mięso całkowicie wystygnie. Szynka cielęca pieczona w cieście jest wyśmienita, gdyż sok pozostaje w mięsie.

OZORY PEKLOWANE. Na 5 kg mięsa wziąć: 20 dk soli, 1 i 1/2 dk saletry, kilka ziarn jałowcu, 1/2 łyżki kolendru, kilka listków bobkowych. Wymieszać sól z drobno utłuczoną saletrą i grubo przetłuczonemi korzeniami. Listki bobkowe skruszyć. Wszystko razem wymieszać. Nacierać świeże ozory dopóki nie zwilgną. Ułożyć w misce, albo faseczce drewnianej, posypując dno naczynia solą z dodatkami. Przewracać rano i wieczorem, aby równo słoniały. Czas marynowania dwa tygodnie.

MARYNOWANIE MIĘSA SPOSOBEM PRZYSPIESZONYM. Ułożyć mięso w naczyniu, w którem ma się marynować, przesypując grubo przetłuczonemi korzeniami: kolendrem, zielem angielskiem, pieprzem, pokruszonemi listkami bobkowemi. przygotować tak zwaną ropę, którą przyrządza się gotując litr wody z dodatkiem 40 dk soli, 10 dk cukru i 2 dk saletry. Gotując szumować poczem wystudzić. Zimną ropą zalać mięso, przyłożyć denkiem, przycisnąć kamieniem. Przewracać codziennie. Trzymać w chłodzie. Niewielkie kawałki mięsa są gotowe do użycia po upływie 6 dni — większe, jak np. szynki muszą leżeć w ropie 2 do 3 tygodni. Podana powyżej proporcja wystarcza do zapeklowania 6 kg mięsa.

PEKEFLEJSZ. Na pekeflejsz trzeba brać mięso wyborowego gatunku, ze sztuk tuczonych. Najlepsza jest krzyżowa. Proporcja na 5 kg mięsa: 4 dk soli, 1 dk tłuczonej saletry, 2 dk cukru miałkiego, 6 goździków, łyżeczka kolendru, kilka listków bobkowych, kilkanaście ziarn białego pieprzu, kilkanaście ziarn ziela angielskiego. Sól z saletrą wymieszać. Korzenie przetłuc grubo, listki bobkowe pokruszyć. Wymieszać wszystko razem, wcierać w mięso, miejsce przy miejscu tak długo dopóki nie puści soku, a wszystka sól nie zostanie zużytkowana. Ułożyć mięso ściśle w misce kamiennej polewanej, albo w drewnianej faseczce, przykryć denkiem drewnianem, pozostawić na przeciąg 24 godzin w cieple kuchennem, żeby puściło sok. Dalej trzymać w chłodzie, przewracać dwa razy dziennie. Gdyby sosu było mało trzeba przygotować „ropę" rozpuszczając w litrze wody łyżeczkę soli, łyżeczkę saletry. Zagotować, wystudzić przed zalaniem mięsa. Czas marynowania dwa tygodnie.

KIEŁBASA WĘDZONA. Proporcja 4 kg tłustej, młodej wieprzowiny, 1 kg zrazówki wołowej, 40 dk słoniny pokrajać najpierw na cienkie plastry, potem na wąskie paseczki i wreszcie na drobniutką kostkę. Włożyć mięso na dużą miskę, wymieszać.

Dodać 20 dk soli, 1 i 1/2 dk saletry, 1/2 dk pieprzu białego tłuczonego, parę ziarn ziela angielskiego. Wszystko to razem wyrabiać rękami, jak ciasto, a chcąc mieć prawdziwie amatorskie kiełbasy wlać w czasie wyrabiania kieliszek od wina araku. Napełniać cienkie kiełbaśnice, przewiązując sznurkiem w dowolnych odstępach.

Po napełnieniu wieszać wianki kiełbas na drążku, który trzeba umieścić w suchem, przewiewnem i chłodnem miejscu, żeby kiełbasy obeschły. Po kilku dniach przenieść do wędzarni i wędzić w wolnym dymie trzy do czterech dni. Po uwędzeniu obsuszyć.

KISZKA PASZTETOWA. Proporcja: 1 kg wątróbki wieprzowej, 3/4 kg tłustej karkowiny. 20 dk słoniny, parę ziarn ziela angielskiego, parę ziarn pieprzu białego, czubata łyżeczka soli, 1 nieduża cebula, 2 łyżki bułeczki tartej, 4 całe jaja. Kiszki krzyżówki.

Wątróbkę wymoczyć, zdjąć błonę, wyżyłować. Rzucić na wrzącą wodę, pogotować 15 minut. Wyjąć osączyć, ostudzić, przepuścić trzy razy przez maszynkę, zakładając najdrobniejsze sitka. Karkowinę również zemleć trzykrotnie. Słoninę ugotować w całości, pokrajać w drobną kosteczkę. Cebulę upiec. Pieprz i ziele zemleć na młynku. Włożyć mieloną wątróbkę na miskę, wsypać sól, wyrabiać 5 minut. Dodać mieloną karkowi-

nę, znów wyrabiać razem 5 minut. Wsypać mielone korzenie, drobniutko usiekaną, albo utartą na tarce cebulę, wbijać po jednem jajku. Wyrabiać. Wreszcie wsypać bułeczkę tartą, dodać słoninę krajaną w kostkę, wymieszać i napełniać doskonale wyczyszczone, wymoczone w zimnej wodzie i wytarte do sucha kiszki krzyżówki. Otwór kiszki związać mocno cienkim, czystolnianym sznureczkiem, albo spiąć szpilką drewnianą, nabierając skórkę kiszki na szpilkę, tak jakbyśmy szyły okrętką. Kiszek nie należy napełniać zbyt mocno, bo w gotowaniu popękają.

Gotować na obfitej wodzie w dużem naczyniu. Kłaść kiszki do wody, gdy będzie doprowadzona do stadjum wrzenia (nie gotująca!). W takiej temperaturze trzymać kiszki godzinę na zasłoniętej fajerce. Jeżeli będą się ostro gotowały popękają. Po wyjęciu z wrzątku momentalnie wrzucić w zimną wodę, a po kilkunastu minutach wyjąć, osączyć, ułożyć na półmisku i wynieść do zimna.

Gotować kiszki w odkrytem naczyniu inaczej popękają!

NA SPECJALNE żądanie jednej z pań prenumeratorek.

SELERY PO TURECKU. Selery t. zw. „kardowe" ściąć kilka cm. od główki, oczyścić na lekko osolonej wodzie, dodając trochę mąki pszennej, aby zachowały biały kolor. Dobrze podgotowane wyjąć z wody, osączyć, ułożyć w rondelku, podlać niewielką ilością rosołu, przykryć plastrem słoniny i dusić na wolnym ogniu do miękkości. Wydać w ozdobnej rynce, polewając mocnym buljonem doprawionym sokiem cytrynowym.

SELERY AU GRATIN. Ugotować selery, jak wyżej (w słonej wodzie z dodatkiem mąki). Osączyć. Ułożyć w rynce ogniotrwałej, skropić sokiem cytrynowym, polać gęstym sosem beszamelowym, oproszyć tartym serem szwajcarskim, zrumienić w ostrym piecu.

CHLEB WIEJSKI NA DROŻDŻACH. Proporcja: 1 kg mąki żytniej pytlowej, $^1/_2$ kg mąki pszennej, 6 dk drożdży, maślanka, albo słodkie mleko, 2 łyżeczki kminku, czubata łyżeczka od herbaty soli stołowej. Jajko do posmarowania.

Osiać mąkę, wymieszać. Rozpuścić drożdże w letniem mleku, rozczynić ciasto, przykryć, postawić w cieple. Gdy rozczyn podrośnie, wlać maślankę, lub słodkie mleko doprowadzone do letniej temperatury, wsypać sól, kminek roztarty w rękach (co wydobędzie z niego silniejszy aromat), wyrabiać ciasto tak długo dopóki od rąk nie odstanie. Ciasto powinno być bardzo ścisłe. Z wyrobionego ciasta formować zręczne, nieduże bocheneczki chleba, podłóżne albo okrągłe, ułożyć na desce posypanej mąką, albo na blasze od pieczenia (na blasze piecze się wówczas, gdy nie mamy pieca do pieczenia chleba, tak zwanego „szabaśnika", a zwyczajny piecyk przy kuchni węglowej, lub gazowej).

Gdy chleb wyrośnie w cieple kuchennem posmarować jajkiem rozbitem z odrobiną zimnej wody, wsunąć do bardzo gorącego piecyka, albo do szabaśnika doprowadzonego do odpowiedniej temperatury. Piec około 40 minut, większe bochenki godzinę.

Melba.

TORT WIELKANOCNY.

Dodatki do ciasta: 3 jajka, 150 gr. cukru, 1 paczka cukru waniljowego D-ra Oetkera, 3-4 łyżki stołowe wody, 100 gr. mąki pszennej, $^1/_2$ paczki proszku, do pieczenia „Backin" D-ro Oetkera, 100 gr. mączki „Gustin" D-ra Oetkera, 50 gr. masła.

Dodatki do kremu: $^1/_8$ litra mleka, 12 gr. waniljowego proszku budyniowego D-ra Oetkera, 50 gr. cukru, 100 gr. masła.

Dodatki do przełożenia: 125 gr. marmelady lub konfitur (malinowych, truskawkowych lub porzeczkowych).

Dodatki do lukru: 200 gr. cukru miałkiego (pudru), około 3 łyżek stołowych gorącej wody, $^1/_2$ listka czerwonej żelatyny D-ra Oetkera „Regina".

Dodatki do upiększenia: trochę białka i tyle cukru miałkiego, ile białko wchłonie.

Sposób przyrządzania ciasta: Utrzeć 3 żółtka starannie z cukrem, wodą i cukrem waniljowym, dodawać stopniowo przesianą i zmieszaną z Backinem mąkę oraz mączkę „Gustin", wyrobić wszystko na gładkie ciasto, domieszać roztopione, znowu ostudzone, lecz jeszcze płynne masło i wkońcu piankę z białek. Wyłożyć ciasto do wysmarowanej tłuszczem tortownicy i piec w dobrze ogrzanym piecu 25-30 minut.

Sposób przyrządzania kremu: Rozpuścić 12 gr. waniljowego proszku budyniowego z 2 łyżkami stołowemi mleka, wziętemi z $^1/_8$ litra mleka, zagotować pozostałe mleko z cukrem, domieszać rozpuszczoną masę budyniową, zagotować ponownie i mieszać aż do ostygnięcia. Spienić masło na pianę, dodawać stopniowo, a następnie po łyżce zupełnie ostudzony, lecz jeszcze nie stężały budyń, stale mieszając.

Ostudzony spód tortowy kraje się na 3 kręgi, smaruje jedną kremem maślanym, łączy z drugą, smaruje marmeladą i pokrywa trzecią warstwą. Wierzch tortu i brzegi oblewa się lukrem cukrowym i ozdabia według gustu przekrajanemi na połowę jajkami czekoladowemi, ozdabiając je zapomocą kornetu (tutki pergaminowej) lukrem. Można również ozdobić tort w inny sposób, stawiając w środek tortu zająca czekoladowego lub gniazdko czekoladowe z jajeczkami. Powierzchnię tortu można również ozdobić kremem maślanym, wówczas należy jednak wziąć jeszcze raz tyle dodatków, jak podano wyżej.

Sposób przyrządzenia lukru: Zmieszać cukier miałki (puder) z gorącą wodą i $^1/_2$ listkiem rozpuszczonej żelatyny czerwonej na gładką masę i posmarować nożem wierzch i brzegi tortu.

Sposób przybrania: Niecałe pół żółtka utrzeć z cukrem miałkim (ile wchłonie) aż się utworzy gęsta masa, napełnić nią tutkę pergaminową (koniec trzeba uciąć) i wyciskać kropelki naokoło jajek i na brzegu.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF AKTUALNY

Z podanych głosek ułożyć 10 wyrazów dwuzgłoskowych, których środkowe litery, czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Zgłoski: wić-do-gie ń-sza-wa-kie-wol-za-ka-ci-sło-dy-pał - ka-o-tąd-ba-hu-no-wni

Ciągle beztrosko się *pierwsze* nie *czwarte*.
Dziesięć karnawał *pięć* krzykiem, tupaniem
Piosenki *ósme* i wesołe żarty,
radosny *siódmy*, muzyka pląsanie!

Teraz *dziewiąta*. Nadchodzi czas *trzecie*
duchowej siły *drugi* płonąć musi.
Wgłąb własnej duszy niech każdy *sześć* — przecie
na głos sumienia nie będziemy głusi...

Alina Kwiecińska.

TREŚĆ NUMERU: Czy kobiety norweskie zdadzą egzamin — *H. Bukowska.* W obronie praw kobiet. Kobiety na gruncie lwowskim — *Konstancja Hojnacka.* Cele społeczne i gospodarcze spółdzielczości — *O. Dąbrowska Haubold.* Uzurpator — powieść — *William Locke.* Społeczeństwo okrętowe — *Jadwiga Korczakowska.* Kwadrans z Grywińską — *Anna Śmiałowska.* Kobiety z małego miasteczka — *Klara Sołonowicz.* Fragmenty Wystawy Ładu. Z teatrów —*Zofja Miszewska* i *Alina Kwiecińska.* Wrażenia z recitalu — *Wanda Mirowska.* Książki dla matek i dzieci — *Zofja Bolesławska.* Ze srebrnego ekranu — esha. *Len Wileński* — *Well.* Szczepienia ochronne przeciwko chorobom zakaźnym — *Dr. F. K.* Zakupy przedświąteczne — *Pani Elżbieta.* Codzienne pogotowie — Igła. Higjena snu — *Joanna.* Dobre rady — Praktyczna. Jadłospis tygodniowy. Przepisy kulinarne — Melba. Rozrywki umysłowe.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwatarlnie 5 zł.

REDAKTORKA NACZELNA: *Wanda Dobrzańska.*
WYDAWCA: *Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza.*
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Szpitalna 5, m. 15, tel. 5-07-03. Konto P. K. O. 13-191.

Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa, Nowolipie 2, tel. 11-40-45.



57. 58. 59. 60. 61.

57. SUKIENKA Z WEŁNY DESENIOWEJ WYKOŃCZONA GUZIKAMI, KOŁNIERZYKIEM I PASKIEM W KOLORZE DESENIU.

58. SUKIENKA Z JASNEJ WEŁNY FANTAZYJNEJ. PASEK I FANTAZYJNY KOŁNIERZ Z CIEMNEGO JEDWABIU.

59. SUKIENKA Z GRANATOWEJ WEŁNY – SZYJKA Z WZORZYSTEGO JEDWABIU.

60. SUKIENKA PIASKOWA–FANTAZYJNIE PODŁOŻONA CHUSTECZKA Z BRONZOWEGO JEDWABIU.

61. SUKNIA O TYPIE „ROBE – MANTEAU" Z WEŁNY W KOLORZE CIEMNO-BRONZOWYM PRZETYKANA BIAŁĄ NITKĄ.



1.



2.



3.

1. PŁASZCZYK Z BIAŁEGO ZAMSZU – MODEL DLA DZIEWCZYNKI W WIEKU OD LAT 4 – 6. PHOTO DORVYNE.

2. PŁASZCZYK Z WEŁNY W KOLORZE PIASKOWYM. PHOTO DORVYNE.

3. SUKIENKA Z WEŁNY W BARWNĄ KRATĘ, PRZYBIERANA GŁADKĄ WEŁNĄ – MODEL DLA DZIEWCZYNKI W WIEKU OD LAT 5 – 7. PHOTO DORVYNE.

Druk „Rotofot" Warszawa